



<http://rcin.org.pl>

Exp. Archimedes IV

<http://rcin.org.pl>

MALWINA

CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

EDYCJA TRZECIA, POPRAWNA

TOM I

W WARSZAWIE,

NABŁADIM N. SIECZBERGA,

KSIĘGARZ I TYPODRAWIARZ UNIWERSYTECJI

<http://rcin.org.pl>

W powieści tej (skoczonej przez sta-
ję z ks. Cartorysbirg Wirttemberskiej)
przedstawia się wyborny obraz to-
warzystwianiego życia Warszawy po-
między r. 1809 a 1815. -

1 Rb.

2168.

MALWINA.

TOM I.

Cena Antykwariska: 1 Rub.

100
00

DRUKIEM N. GLÜCKSBERGA.

MALWINA

CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA.

EDYCJA TRZECIA, POPRAWNA.

T O M I.

Wydawnictwo

W WARSZAWIE,

NAKŁADEM N. GLÜCKSBERGA

XIĘGARZA I TYPOGRAFA UNIWERSYTETU.

1822.



Manuscript

**INSTITUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAW
BIBLIOTEKA**

ul. Piłsudskiego 72
00-380 Warszawa
Tel. 26-06-33, 26-52-31 w, 42

<http://rcin.org.pl>

DO MOIEGO BRATA

Nie mam dość miłości własnej, bym rozumieć mogła, że dzieło bynajmnięj doskonałe przypisuję tobie; lecz serce moje przyzwyczaiło się od dzieciństwa tęczyć myśl o tobie do każdego w życiu wypadku, w okolicznościach ważnych, iak w naydrobniejszych zdarzeniach nawykłe zawsze bydl przez ciebie wspieranem, zachęcanem, pocieszanem, przywiodło mnie i teraz twoięj pieczy moię oddać Malwinę.

Tom I.

I

Nie ma ona innéy zalety nad tę, że w oyczystym ięzyku pierwszym iest w tym rodzaju romansem, Gdyż romanse Krasickiego, Jezierskiego i t. d. opisuią zwyczajnie naszych oyców i dziadów; lecz bynajmniéy niemaluią obrazu teraznieyszego społeczeństwa. Ten obraz w Malwinie nie u st ani doskonałym ani dokończonym; lecz będąc pierwszym, wzbudzi może ciekawość, przebiegaiącym te kart kilka przypomni, że nie ma tego rodzaju pisma do którego ięzyk Polski nie byłby zdolnym, i wtedy to, co moia chęć dobra nastęczyć chciała, wyższa czyia umiejętność dokona.

Wiem także, że wiele innych gatunków pism byłby nad romans

użyteczniejszymi; lecz nie czując w sobie zdolności do uskutecznienia ważniejszego zamiaru, chwyciłam się tego, którego brak zupełny w naszym języku, czyni mi nadzieję. że moja praca nie zupełnie czczą będzie. A przytem rozumiem, że i romans czasem korzystnym być może. Zda mi się, że przepisy, prawdy, nauk, które pod pokrywką zabawy w dobrym romansie znaleźć można, więcej nieraz przekonywają; niżeli suche morały, obnażone z pojęt ciekawość wzbudzających, a do czytania których mało kto się nawet porywa. W romansach zaś, w tych szczerych obrazach społeczeństwa, każdy niemal znajdując zdarzenia podobne tym, których

doświadczał, uczucia sercu znaniome, błędy w które wpadał. namiętności iakie nieraz w pozyciu spotykał, minowolnie zajmuie się tē m opisaniem, porównywa, rozważa, i częstokroć skutkiem tych rozważ czynionych bez uprzedzenia, staje się to w głębi serca przekonanie, że w iakieykolwiek doli, w iakimkolwiek wypadku, działać dla cnoty, jest to pewnieyszym nad wszelkie inne sposobem działać dla szczęścia.

Myśl ta, nader miła sercu mojemu, zwrocila mnie znowu ku tobie bracie ukochany! przekonana o ięy rzeczywistości, iakzebym wierzyć mie miała, że ciebie kiedyś uyrzę zupełnie szczęśliwym?

*Ciebie którego od urodzenia wi-
działa ciągle działającego dla cno-
ty, ciągle poświęcającego życie
szczęściu drugich i dobru powsze-
chnemu.*

MALWINA

CZYLI

DOMYSLNOSC SERCA.

Enfin quand la raison hésite et flotte encor
Souvent l'instinct rapide a déjà pris l'essor.

DE LILLE

Imag: Chap: 1.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

P I O R U N.

« **T**ERAZ co burza minęła, zdaie mi
« się że duszno tu w pokoju, Do-
« brze byłoby okno na balkon o-

« tworzyć, — Siostro! komarów do
« światła naleci tysiącami, — Rąbek
« w oknie komarów nie puści, a chłód
« do nas dojdzie i zapach Rezedy,
« którą deszcz musiał dobrze od-
« świeżyć. Ale, mój ty luby tchó-
« rzu. (dalej z uśmiechem rzekła
« Malwina do siostry) nie komarów
« podobno ale grzmotów raczey się
« boisz! prawda, że dość mocne przez
« godzin kilka trwały; lecz ponie-
« waż zupełnie się uspokoiły, to i
« ty się uspokoy moja Wandulu, i
« dla tego żebyś ieszcze łatwiej o
« strachu swoim zapomnieć mogła,
« zagram ci owego mazurka, który
« iak mówisz, nayzabawnieysze bale
« ci przypomina. »

Młoda Wanda przekonana temi
słowy, od krosienek skoczyła otwie-
rać okno, a Malwina zapiawszy ro-
botę, siadła do fortepiana, i ulubio-

nego mazurka grać zaczęła. Wesoło przebiegając sale i rozmyślając o zimowych balach, Wanda zupełnie zapomniała, że kiedykolwiek grzmoty na świecie bywają, lecz przypomniawszy sobie że zaprzestać być dziecinną i za słuszną iuz osobę uchodzić zyczyła, poważną postać przybrawszy i siadłszy przy fortepianie, « Dość tych szaleństw (rzekła) dość « tego mazurka; teraz siostrzyczko « zaśpiewaj mi iedną z tych pieśni, « które choć niebardzo są smutne, « mnie iednak zawsze rozrzewniaia, « kiedy ty twoim słodkim głosem ie « śpiewasz! » Malwina kazdemu rada dogodzić a bardziéy ieszcze siostrze, pograwszy trochę, następującą pieśń śpiewać zaczęła;

WIENIEC HALINY. (*)

Zielone z ozdób obrałam doliny,
Fiołkiem świeżą przeplatając różę,
By skronie moicy uwienczyć Haliny,
Zbierałam goździk i lilię hożę.

Z poranku miękkich swych włosów pier-
ścienie.

Wieniec odemnie kraśnym ozdobiła,
Wonneysze nadeń różowych ust tchnienie,
A świeżość twarzy blask iego zgasila.

Dzień cały Halkę te kwiaty zdobiły,
I każdy pasterz w tey przyznał krainie:
Ze na iey skroni bardzięy się pyszniły,
Niż kiedy rosły w oyczystey dolinie.

Lecz gdy wieczorem bez farby i woni
Omdlone kwiaty Halka obaczyła,
Wzrok się iey zmienił; upuściwszy z dłoni
Wieniec ku ziemi i oczy spuszcila.

(*) Z *Angielskiego Poety* PRIOR.

Wzrok wtedy lepiej wyraził niż słowa,
Tę czułość którą dały ię niebiosy,
Gdy na omdlone lza z oczu perłowa
Upadła kwiaty, iakby kropla rosy!

W ówczas, chcąc wiedzieć co było przy-
czyną,
I zkąd takowa wzięła się odmiana,
O moia, rzekłem, nadobna Halino.
Powiedz co znaczy ta lza niespodziana?

Westchnęła, potem z uśmiechem podo-
bnym,
Jakim cierpliwość w żalu się rozśmieie,
Patrzay, zawoła, w tym wianku nado-
bnym,
Jak krótka chwila przycmiła nadzieie.

Wiosny nadzieie, co kwitną na łące,
I ranna młodość, podobne są sobie,
Pyszną obydwie pięknnością lłyszczące,
Równe w trwałości, równę i w ozdobie.

Snudy rozkosze dnie młodey Teony;
Wśród grona pustey szalala młodzieży,
Alic w okropne uderzono dzwony,
Czytam na grobie: — TEONA TU LEZY —

Co wczora losem stalo się Teony,
To, dzisiay moze czeka twą Halinę,
Osądźże teraz o mój ulubiony!
Jeśli nie słuszną mam smutku przyczynę.

Nigdy, iak tego wieczora, głos Malwiny przyjemniéy się nie rozlegał. Na prośbę siostry, gdy strofę ostatnią raz ieszcze powtarzała, szmer taki, iak gdyby ktoś na tarasie pod oknem chodził, Malwinie słyszec się zdało, co raptownie przerwało iey śpiewanie. Malwina ucichła, Wanda podług zwyczaju bać się zaczęła; potem obie dodawaiąc sobie męztwa, odważyły się wejsc na balkon, lecz

noc tylko czarną tam znalazły. Grube obłoki, deszcz ieseże i grzmoty wrózące, niebo całe zaciągnęty; ci-chość zupełna w powietrzu panowa-ła (iак zwykle przed naywiększemi bywa nawałnicami) i słowik na bli-skiey topoli miłosne swe nucąc tony, iedynie powszechne przerywał mil-czenie.

Pewnieśmy się omyliły, rzekła Wanda, rozumiejąc, że hałas iakiś słyszemy, tu żywey duszy nie ma, ciemno okropnie, i ponieważ nie-szczęściem nie w tych czasach iuż ży-iemy, w których Sylfy koło siedlisk ziemianek czasami się błakali, moja rada byłaby wrócić do pokoju, bo tu prócz kataru niczego się nie do-czekamy. — Malwina, oparta na kra-cie balkonu, i oczy mająca wle-pione w ciemność, która wszystkie przedmioty okrywała, nie bardzo

słuchała rostopney mowy Wandy; lecz błyskawica co w ten moment czarne obłoki przeszła, przerwała iey dumanie, i Wanda korzysaiąc z tego wypadku, siostrę do pokoju wepchnęła, okiennice i firanki pozasuwała, aby, ile możności, ni widzieć, ni słyszeć grzmotów i łyskania, które z boiaznią przewidywała.

Ledwo skończyła te wszystkie środki ostrożności, i tylko co obie siostry usiadły były znów do krosienek, alic burza nieslychana, miotająca z szelestem ogromnemi topolami koło domu, deszcz kroplisty biały w okna, i grzmoty po całej rozlegającej się krainie, strachem przeięły trwożliwe serce Wandy. Malwina nawet, która zwykle grzmotów się nie bała, okropnością iakąś przeięta, wstała była dla dania rozkazu, żeby drzwi i okna wszędzie pozamykano, gdy

w ten moment taki okropny trzask piorunu dał się słyszeć, iż nie można było wątpić, że w sam dom lub przynajmniej bardzo gdzieś blisko uderzył. Malwina osłupiała na chwilę, lecz postrzegłszy Wandę z przełknięcia iak bez duszy leżącą, zaraz o swoim strachu zapomniała, i skoczyła siostrę ratować; z pospiechu wielkiego ledwo dzwonków wszystkich nie zerwała. Ludzie, przybiegli z całego domu; starania ich wkrótce Wandę ocuciły, i Malwina widząc ją mniej bladą i uśmiechającą się znowu, wtedy dopiero odzyskała zdolność słuchania długich opowiedzeń, które razem gadając czynili wszyscy o owym straszonym piorunie, i o wrażeniu iakie sprawił na każdym. — Jak mi Bóg miły (żegnając się rzekła Frankowska, zasłużona pokojowa Malwi

nigdy równego strachu nie doświadczyła! Ja właśnie kołnierzyk prasowałam dla Jeymości (powiedziała na to Marysia, dziewczyna służąca) ale ze strachu żelazko upuściłam na łapkę Kory, która do tego czasu skowyczy! Jeszcze to wszystko nie jest, ale ja wam opowiem krótko moje osobliwsze zdarzenie w tem powszechnem przerażeniu, zaczął wołać Marcin stary zasłużony kamerdyner. poczciwy i dobry, który wszystkie miał zalety, ale od urodzenia nie jeszcze nigdy krótko nie powiedział, i którego relacya, Bóg wie jak długo byłaby potrwała, gdyby następującą okolicznością nie została przerwana, Lokay wpadł do sali oznajmując, że ów piorun który wszystkich przeraził, padłszy we wsi na Somorkowey stodołę, zapalił ją, a wiatr duży i bliskość

chałup, większego ieszcze każą obawiać się pożaru, nawet cała wieś splonąłaby mogła. Dobra Malwina, której nayıpierwze wzruszenia zawsze ją prowadziły do litości i do pomagania cierpiącym w iakim bądź gatunku. ieszcze osobistą miała przyczynę zaięcia się Somorkową; gdyż ta wieśniaczka mlekiem ją swoim karmiła i od dzieciństwa iak własną kochała córkę. Malwina tedy, ani na noc, ani na wicher nieuważając, ani na przestrogi starego Marcina, który wiele rzeczy za te o zdrowie swoje mało dbanie iey przepowiadał, rozkaz dała iemu i kobietom swoim, aby przy słabey ieszcze Wandzie zostały, i zarzuciwszy tylko szal na siebie, sama z domu wybiegła. Spiesząc kędy ją blask łuny prowadził, wkrótce smutny nader widok uyrzała. Stodoła Somorkowey ze

zbożem już spalona, chałupa iey i kilka innych w ogniu; chłopi w pierwszym śnie przebudzeni, ani umieli; ani chcieli ratować, myśląc, że pożaru od piorunu wsczętego gasić się nie godzi. Płacz kobiet i dzieci, noc ciemna, wicher okrutny, wszystko to razem zebrane, trwogą przeiąwszy Malwinę, odieło iey na chwilę sposobność i moc rozkazania, coby w tym razie działać trzeba, gdy ieszcze te słowa: *ah moia wnuczka, moia biedna Alisia komorze uspiąca, zginie bez wątpienia!* z nayboleśnieyszym iękiem przez Somorkowę wymówione, do reszty Malwiny przytomność zmieszały. Nie wiedząca już, sama co robi, słuchająca iedynie swego dobrego serca w chęci ratowania tego dziecka, leciała pomiędzy kłęby dymu blaskiem ognia zaciemiona; w tem belka w pół

spalona padła przed nią i przeszkodziła zupełnie do dalszego postępowania, a siły tylu wzruszeniami zwałone i nie równaiące się mocy duszy opuściły ją w ten moment zupełnie; iednak czas ieszcze miała postrzedz iak nieznaiony iakiś mężczyzna, przeskoczywszy krokwie wpòł spalone, belki i tarcice zaięte, biegł do niej; wyciągnąwszy ją z tego niebezpiecznego miejsca, ów nieznaiony na świeże wyprowadził powietrze. Końca tego Malwina nie widziała, gdyż wtedy zupełnie iuż była zemdloną na ręku nieznaionego, który szczęśliwie uratowawszy ją z pośród ognia, oddał staraniom iey kobiet i ludzi. a sam pobiegł ratować dziecko, które niewinnym sposobem mogło było stać się przyczyną śmierci dobroczynney Malwiny,

Nieznaomy ten młodzieniec, pomimo grozacych niebezpieczeństw, potrafił dożyć aż do tego schronienia, gdzie mała Alisia w czasie całego tego halasu, i tak bliska śmierci, spokojnie w łóżeczku swoim spała; zawinawszy ją w pierwszą płachtę którą napadł, wyniosł iak najprędzey, a za iego przykładem i pomocą wkrótce i ogień został ugaszonym. Malwinę témczasem do naybliższej chaty zaniesiono; ocucona po chwili, nie wiedziała dobrze gdzie się znajduje, lecz otworzywszy oczy, pierwszy przedmiot któren ujrzała, znalazł się być także sam nieznaomy. który wprzody iak cień tylko mignął się iey był przed oczy. Teraz zaś widziała go patrzącego na nią z nayszczelną troskliwością i przy nim postrzegła Alisę, cel ten tkliwey ich litości; żyje



444
Lycie i zdrowia jest zapłtnie.



*i zdrowa jest zupełnie, rzekł z po-
śpiechem nieznaiony, i szczęśliwsza
od innych żyć będzie pewnie, by kie-
dyś mogła się odwdzięczyć dobroczyn-
ney swoiék opiekunce!*

Widok dziecka, a może te słowa
i sposób którym były wymówione,
pomocne stały się do ukoienia strwo-
zonego serca Malwiny, wławszy w to
serce uczucie iakieś rozrzewniające,
dotądieszcze iemu nie znane. — « Iia,
i Alisia, rzekła Malwina do niezna-
iomego, obieśmy życie winne temu,
którego imie radabym już wiedzieć,
by znać komu tyle winnam wdzię-
czności? — Jest to nazbyt cenic zda-
rzenie (odpowiedział nieznaiony)
które szczęściem stało się dla mnie,
ale wypełnienie którego każdy ro-
wnie miałby za obowiązek. Co się
zaś mnie tycze, nie śmiałbym niko-

go mną samym zatrudnić; ale rozkazowi twojemu Pani, powinieniem być posłuszny. Ludomirem mnie zowią; w ciągu podróży przejeżdżając tedy, dla burzy zatrzymałem się na poczcie, a korzystając z iey uciszenia się na chwilę, dozwoliłem sobie błąkać się pięknymi ścieżkami prowadzaczemi ku domowi, którego Pani... łatwo się teraz domyślam. — » Ah, to i ia się teraz domyślam, kto... (śpiewanie moje dziś przerwał) chciała dołożyć Malwina; te słowa z ust ulatując wyprzedziły uwagę nad ich niepotrzebnością; zarumieniła się, niedokończyła, i Ludomir postrzegłszy iey zmieszanie, uczynił się jakby tego nie był uważał, i dalej mówić zaczął: — « Gdy nawałnica powtórnie się wsczęła, pod bliską tu schroniłem się wystawę, słyszałem iak

piorun uderzył. i wkrótce pożar postrzegłem; przyleciałem wtedy, i za najszcześniejszą w życiu tę będę rachował godzinę, w której dobroci i niewinności stać się mogłem użytecznym, »

Umilkł Ludomir: Somorkowa która ledwo nieszalała z radości widząc i wnuczkę swoją i Malwinę ukochaną, obie zdrowe i bezpieczne, nie mogła dosyć wyrazów wynaleść w swojej ku Ludomirowi wdzięczności. Domowi Malwiny, naczuley ku Pani przywiązani, szczerze Somorkowey w tem towarzyszyli. Wanda śmieiąca się i płacząca razem, dziękowała Bogu, dziękowała Ludomirowi, ścisła Alisę, Somorkowę i wszystkich co napadła, i uwiesiwszy się siostrze na szyi « Ah, mówiła, jakże to dobrze Opatrzność zrządziła, że ty jesteś

na świecie, żeś moją siostrą, że ty mnie, a ja ciebie tak z duszy Kocham, « Po tym wylewie czułości wróciwszy do zwyczajnego humoru, z uśmiechem zaczęła mówić do Malwiny. — « Spodziewam się Siostrzyczko, że świadoma praw dawnego Rycerstwa, które mnie szanować zalecasz, wiesz dobrze, że waleczni Rycerze, którzy honor lub życie dam ratując własne wazyli, bywali potem po zamkach tychże Dam przyjęci i uczczeni. My starodawnego zamku nie mamy, ale do domu swojego przynajmniej zaprosić powinniśmy Rycerza naszego, który jeżeli nie z inszej strony. to z odwagi i ludzkości doskonale jest nam znaiomy. »

Malwina, która bardziej jeszcze może od Wandy życzyła dom swój Ludomirowi ofiarować, wahała się jednak w przyjęciu gościa zupełnie sobie nie-

znaiomego, osobliwie w niebytności ciotki, która zwykle przy niej mieszkała, a trafem na ówczas była nieprzytomna. — Lecz na szczęście Ludomira, co utaić przed damami dotad był zdołał, Wanda odkryć potrafiła, a to było, iż gdy ratował Alisję, kawał ciężkiej łąty w pół spaloney padł mu na ramie i zranił go boleśnie; zrazu na to nie zważając, spuchnienie ręki tym pomnożył: skrwawiony rękaw odkrył tę tajemnicę. Tak ważnym przyczynom ustąpić musiały skrupuły Malwiny; uradzono zatem przy wielkiej radości Wandy, że damy powinne Rycerza do zamku zaprosić i o ranie jego mieć staranie.

Chłopom, którzy przez pożar wszystko Lyli utracili, Malwina nagrodzić wszystko obiecała, a Alisję (dołożyła do mamki swoiey obraca-

iąc się) *odtąd na własną chęć wziąć opiekę.* Alisia pyszną się czuiąc tę obietnicą, uczepiła się wnet sukni swojej drugiej matki, prosząc, aby ją zaraz z sobą zabrała, na co gdy babka chętnie zezwolila, Ludomir choć z chorą iedną ręką nie dał iey nieść nikomu, lecz na drugą rękę wzięwszy ją natychmiast, iuz nie na pocztę, ale z obydwoma siostrami do ich zamku się udał.

R O Z D Z I A Ł II,

LIST LUDOMIRA DO TELIMENT,

w Krzewinie 15 Maja 18..

LISTY dwa com pisał od wyjazdu mego. musiałaś już odebrać matko kochana! Oprócz wyrazów mego przywiązania, żalu po tobie, i tej iakiejs tęsknoty która mnie z domu wypędziła i dotąd nie porzucała, nie ci nie mogłem donieść, Powtarzać nie będę nudnego ciągu smutney dość podróży; iechałem, boś mi iechać kazała, widząc mnie zamyślonym, ponurym, ah, niemal nieszczęśliwym (ieśli przy tobie nieszczęśliwym byż można). Czula twoja

nademną opieką wyobraziła sobie, że zmiana miejsc, zatrudnienia podróży, uspokoić może potrafią tę głęboką melancholią serca i burzliwe zapędy duszy: która czując się może zdolna do wszystkiego, najbardziej nad tem cierpi, że srogim losem na wieczną jest nieczynność skazana.

Ale dosyć o tem, co ciebie aż nadto zasmucało; lepiej racz posłuchać opisanie dnia wczorayszego szczęśliwego dla mnie, ponieważ w tym dniu stać się mogłem użytecznym.

Tu Ludomir opisuie co czytelnik w przeszłym już czytał Rozdziale, i jak pierwszy raz postrzegł Malwinę; dalej dokłada, —

Przy emiającym blasku pożaru, między dymem, zwalonemi belkami wśród trwogi i niebezpieczeństw,

postrzegłem kobietę a raczey Anioła. Ah! matko, nic nigdy równego nie widziałem, a raczey nic nigdy równego wrażenia na moim nie uczyniło sercu. — Uyrzałem Malwinę, z okropney ią może śmierci wyrwałem! na ręku moim zemdloną wyniosłem; na ręku moim, blisko serca Ludomira, śliczna głowa Malwiny spoczywała; na ręku moim zwieszona, podobną była biały lili którą burza nachiliła! twarz iey blada, czarnę długie warkocze, które na szyję i śnieżna suknię spadały.... Ah! matko! lube to zjawienie ni z serca, ni z pamięci moiej nigdy się nie wymaże! Ale matko kochana, zdaie mi się ztąd słyszeć ciebie mówiącą — otoż iuż Ludomir znowu wpadł w swoje zachwycenia! o ta głowa gorąca kiedyż się ustaknie! — Żeby tedy wię;

cey ńa te nie zasługiwać zarzuty, zimno i rozsądnie resztę Ci opiszę.

Z Malwiną i Wanda wróciłem do zamku. — Ręka moja, która mocno jest skaleczona, zatrzyma mnie tu ieszce dni kilka, bo dobra i troskliwa tuteysza Pani niechce mnie puszcząć, póki felczer, którego sprowadzili, nie wypuści mnie z tego miłego więzienia; ja też przyznam ci się niekoniecznie się wydzieram. — Nie wiem dlaczego, ale tu lżej oddycham, powietrze musi być zdrowsze w Krzewinie, łąki zdaia się być zieleniejsze, buyniejsze drzewa, wonniejsze kwiaty niż gdziekolwiek. Niewiem, czy dla słowików, których tu iesz tysiącami, ale noc całą spać nie mogłem; iednak dziś rano wstałem z rzeźwieyszem, pogodnieyszem sercem, z takim, iakiegom dotąd nigdy w sobie nie czułem.

O dziesiątę dano mi znać że czekała na mnie ze śniadaniem, bo w Krzewinie razem go zwykle piiają. Przed oknami Malwiny, na prawdziwie szmaragowej murawie, między dwiema ogromnemi topolami, nakryte było śniadanie. Malwina już nie blada jak wczora, ale świeża jak zorza, odziana w naybielszym, com kiedy widział muślinie, kapelusz miała biały, różową bladą wstążką wiązany, który trochę zasłaniał twarzy i nie dozwalał obfitym włosom zewsząd się dobywać. — Już nie powiesz matko kochana, że na stroie kobiet nie uważam nigdy; spodziewam się, że ci ten dość dokładnie wyszczególnię. — Wanda i Alisia biegały po murawie. — Wszyscy się troskliwie o moję rękę pytali. — Do śniadaniaśmy zasiedli; wszystko świeże, wszystko smaczne

zdawałomi się. — przy Malwiniem siedział. — Niebo tak było pogodne — słowa, spoyrzenie, uśmiech Malwiny tak dobry, tak uymuiący... Ah matko kochana! nie powiem już nigdy; że niema szczęścia na tey ziemi!... iest szczęście — może bydź szczęście, szczęście nad wszelkie wyrazy!... Ale Ludomir ieszcze przed urodzeniem, czarnym już wyrokiem od losu naznaczony, nie powinien nawet ani dumać o szczęściu!

Bądź zdrowa matko kochana! Ponieważ czarne myśli tłoczą się znowu w moje uczucia, niechcę niemi tyle dla mnie przyiaznego zasmucać serca.— Bądź zdrowa matko ukochana, iedyna przyjaciółko Ludomira; póki on żyć będzie, pótę cię szanować i kochać nie przestanie.

R O Z D Z I A Ł III.

*W którym czytelnik iaśniey dowiaduje
się kto była MALWINA.*

MALWINA z iednéy z pierwszych
familii w Polsce urodzona, czter-
nasty rok kończyła, gdy rodzice u-
myślili wydać ją za małż. Ledwo
z dziecinnych lat wychodząca, ni-
gdy ieszcze się nie zastaniwiła nad
przyszłością. O szczęściu, o nieszczę-
ściu stanowić nie mogła, świata by-
najmniey nie znała, i żadnego in-
nego uczucia, żadney inney myśli
nie miała, prócz przywiązania do
rodziców, i chęci bycia im we wszy-
stkim przyjemną i posłuszną, Idąc tedy

za t \acute{e} m, cho \acute{c} daleka od tego, \acute{z} eby powab albo przyjemno \acute{s} ć iak \acute{a} kolwiek w przysz \acute{l} em obiecywa \acute{l} a sobie postanowieniu, wstr \acute{e} t nawet i odrz \acute{e} cz \acute{a} czui \acute{a} c do m \acute{e} ż \acute{z} a, kt \acute{o} rego iey radzono, przyi \acute{e} ła go iednak, bo rodzice przyi \acute{a} c go kazali; lecz nim ostatnie da \acute{l} a swoje zezwolenie, o \acute{s} wiadczy \acute{l} a przysz \acute{l} emu m \acute{e} żowi, \acute{z} e nie czui \acute{a} c \acute{z} adnego do niego przywi \acute{a} zanie, iedynie z rozkazu rodzic \acute{o} w za niego idzie, na co iey odpowiedzia \acute{l} , \acute{z} e bynaimni \acute{e} y to nie szkodzi, \acute{z} e raz b \acute{e} d \acute{a} c iego żon \acute{a} do niego si \acute{e} przyzwyczai, i \acute{z} e w wype $\acute{l$ nianiu swoich ob \acute{o} wi \acute{a} zk \acute{o} w znajdzie i szcz \acute{e} ście. Zup \acute{e} łny ten brak delikatno \acute{s} ci przei \acute{a} ł trwog \acute{a} serce Malwiny, nader smutnym nadal wr \acute{o} ż \acute{a} c iey losem: mimo tego iednak wkr \acute{o} tce potem zosta \acute{l} a Malwin \acute{a} S.^{***}

odzice iey nie d \acute{l} ugo byli \acute{s} wiad-

kami ciągu dalszego ięj losu, (losu, którego zwrot nie szczęśliwy z posłuszeństwa ku ich woli, naturalnie musiał nastąpić). W podszłym iuz będąc wieku. w kilka miesięcy po ślubie córki zyc przestali, i strata ich nayboleśniejszym stała się dla nięj umartwieniem. Mąż który niewyrozumiała zazdrość do wielu innych łączył przywar, wywiòzł ją zaraz od famiłi i znaiomych, do odludnego zamku w głąb naydalszey prowincyi. — Tam dziłością charakteru, zazdrością bez powodów ustawicznemi popędliwemi wyrzutami, że go nie kocha, truł młode lata, dnie i godziny wszystkie łagodney, niewinney Malwiny, która w prawdzie kochać go nie mogła. ale żadney mu przyczyny niedawała, aby mógł słusznie po-

wiedzieć, że mu w czemkolwiek uchybia.

Przez dwa lata, najsmutniwsze i jakie byź może życie prowadziła; alic nareszcie mąż, u którego wszystkie namiętności żywe, rownie i niestatecznemi bywały, uprzykrzył sobie żonę męczyć nie dzielonym Kochaniem, i zmieniwszy całkiem sposób życia, naygwałtowniejszą passją zabrał do polowania. Dnie całe trawił z kilką sasiadami rownie sobie grzecznemi, na gonieniu, męczeniu, i zabijaniu biednych sarn, lisów i zaięcy, a wieczorami z polowania wróciwszy, z temiż samemi sasiadami pił okropnie do późney nocy.

Malwina tym czasem szesnasty dopiero rok licząc, samey sobie zostawiona, w nayzupelniejszey żyła samotności. Byle z domu nigdzie nie

wyieździła , i nie przyimowała nikogo do siebie , mąż , który rzadko kiedy nawet ją widywał , więcey o nic się niepytał . Zrazu to zupełne opuszczenie zasmuciło i zatrwożyło Malwinę ; ale szczęsiem natura była iey dała imaginacya żywą i chęć zatrudninia się . Te dwa przymioty , broniące ją od nudów , (od tey trucziny . która nietylko losy przekorne , ale i nayszczęśliwsze dole obmierzłą zaprawia goryczą) te dwa , mówię , przymioty , uczyniły stan Malwiny nie tytko znośnym , ale często nawet i przyjemnym . Godziny wszystkie , których dosyć miała do użycia , podzieliła sobie między rozmaite zatrudnienia , zabawy i spoczynek . Obfita , choć zarzuciona biblioteka ; którą Malwina odkryła , stała iey się wielką pomocą i prawdziwem szczęściem . Młoda i wielu rzeczy nie

świadoma, czytając z uwagą i wiele, sama siebie, rzecz można, wychowała. Rozum naturalny przyjemnymi wiadomościami ozdobiła, i charakter, ledwo że niepowiem, dziecienny i jeszcze, w zasady pewne ustaliła; lecz przy tych rozsądnych książkach w których tyle dobrego czerpała. Malwina i temi niegardziła, które są skutkiem dowcipney i czasem nadto wybujałej imaginacyi; iednym słowem, z wielką chciwością i trochę może nadto czytywała roman-sów. To małe zdarzenie wpływ miało poniekąd na całe iey życie, kierunek dając szczególny iey myślom i sposobowi widzenia rzeczy, i są-dzenia o ludziach.

Ale cały dzień czytać nie można; to też kilka godzin w dniu na czytaniu strawiwszy, Malwina muzyką się rozrywała. Nie raz po Go-



<http://rcin.org.pl>



Gravé par L. Ponce, à Paris, chez les Citoyens, l'an 4.

Lacrae nitidy glis & powainy, Organów harmonicznych.

<http://rcin.org.pl>

tyckich gankach, po obszerno-pustych salach starożytnego zamku, piękny głos iey się rozlegał. Lubiła śpiewy o dawnym rycerstwie spiewać, łącząc młody głos swój z poważną organów harmonią. Żywa iey imaginacya wstecz ją zwracając, stawiała iey na pamięci świetne Rycerskie czasy lub mgliste Bardów dumania.

Kibic iey giętka i hoża, długie czarne warkocze, twarz łagodna, na której ni lata, ni namiętności, żadney ieszcze kresy nie wyryły, uymuiącym czyniły ją przedmiotem, i gdy w białą szatę odziana po Xiężycy promieniu, który wąskimi dobywał się oknami, iak lekki cień po owych salach przechadzała się, postać iey iak i imie przypominały te młodociane dziewice, które niegdys

po baiecznych pałacach Fingala snuły się i które Ossyan śpiewał.

Nie mogę iednak zataić żeby niekiedy Malwina, rozrzewniona muzyka, albo rozmyślająca o dawnych dzieiach, o rycerstwie, o walecznych tkliwych rycerzach, nie westchnęła czasem widząc się samą, zawsze samą. Ale młody wiek, wiek, w którym była Malwina, ma w sobie to szczęśliwe iakieś przeczucie długiey przyszłości, które mimowolnie łagodzić umie wszelkie troski, i które potrafiło iey czasową uspakaiać tęsknotę.

Przy tém, nie gardziła niewieściami robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim spacerom pomiędzy skalami, lasami, i nad brzegiem potoków, które otaczały iey siedlisko. Nie raz w tych samotnych przechadzkach dobre serce Malwiny

znaydowało mile zaięcie, gdy do ubogich chat, do niskich zagród wstępując, pocieszenie, dobry byt, i zdrowie, co za tem idzie, z sobą przyniosła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę i w wieczór do ponurego swego zamku z nayspokodniejszem sercem wracała.

Takim sposobem godziny, dnie nieznacznie miały: i czwartą iesień w Glazowie nadchodzącą już Malwina widziała, gdy iednego poranku bez zadnego w tem przygotowania, raptownie iey donieśli, że mąż, który, iak zwykle, dnia tego był wyjechał na łowy, zapędziwszy się za zwierzem w bezdrożne parowy, szwankował był z koniem, i że myśliwi znalazłszy go leżącego iak bez duszy, zanieśli zaraz do naybliższej wioski, a do zamku czem prędzey posłali po

wszelki ratunek. Przerazona Malwina, natychmiast pobiegła tam iak nayspieszniey; ale mimo modłów iey szerych, mimo starań doktora, i wszystkich sposobów, które, iakie tylko bydz mogą, użytymi były, maż iey do przytomności nawet nie wróciwszy, w kilka godzin po swoim przypadku życie zakończył.

Zmyślałabym, gdybym mówiła, że śmierć męża, nianagrodzonym nieszczęściem zdała się na ów czas Malwinie; ale dolożyć mogę, że dobra i bynaymniey nie zawzięta Malwina, zapomniawszy, iak mało z nim była szczęśliwą, szczerę łzy wylała nad wczesną i okropną iego śmiercią, i co dziwniey zdawać się będzie, to, że wkrótce potem Malwina, lubo zupełnie wolna, w kwiecie młodości, i mogąca się spodziewać, (że tak rzekę) krociami szczęść,

zabaw, przyjemności w nowo zaczy-
nającym się życiu, smutny rzucając
Głazów; bolesnego iednak uczucia
doznała. Zwodzony most przeieź-
dzając, serce iey się scisnęło, i czar-
ne oczy wlepiwszy w tę stronę, po-
ty na ciemny zarosły zamek patrza-
ła, póki go tylko dostrzedz mogła
przy zachodzącym słońcu, którego
promienie biiąc w szyby; oswiecały
wieżyczki kątowe. Malwina, choć
o ćwierć mili iuz może, ostatnie
posyłając pożegnianie, rzekła z roz-
rzewnieniem: « Zegnam cię staroda-
wny zamku, gdzie kilka lat spo-
koynie spędziła; iadę do świata, któ-
regom zupełnie nieswiadoma! że-
gnam cię głucho odludne siedlisko!
obym nigdy twoiey nie żałowała
spokoyności! »

Niechając dla żałoby iechac za-
raz do miasta, Malwina ułożyła so-

bie czas iakiś przepędzić w krzewinie, ta była pomiędzy iey maiętnościami iedna z nayprzyjemnieyszych, nie bardzo daleko od miasta, blisko iey familii, i w nayweselszem położeniu. Osiadłszy w Krzewinie : napisała zaraz do ciotki swoiey prosząc i namawiając, aby do niey na iakiś czas, a może i na zawsze przyiechała. Ciotka, z dzieciństwa szczególnie ją kochała, będąc wdową i żadney nie maiąc przeszkody! chętnie na prośby Malwiny przystała; ku większemu iey szczęściu Wandę, (która ód śmierci rodziców przy ciotce bawiła) z sobą przywiozła, Złączone razem od ośmiu miesięcy nayprzyjemniey żyły, gdy w krótce potem, iakeśmy w przeszłych Rozdziałach widzieli, poznały Ludomira.

R O Z D Z I A Ł IV.

LIST WANDY DO CIOTKI.

Mimo wyraźney obietnicy regularnego do nas pisywania, iednego słowa od wyjazdu Cioci od niey nie odebrałyśmy.— To iest pierwszy występki; drugi, że Ciocia na piętnasty miała już bydź w Krzewinie, a tu dwudziesty minął, a Cioci iak nie widać, tak nie widać. Tak to *Wojaze* ludzi psuia, i teraz poymię, czemu, mimo gorących moich prośb, Ciocia nigdy mi dalszego *wojazu* nie dozwoliła, iak o dwie mile na odpust do *Rożnieszewa*, do zabawnego i świetnego miasta, gdzie pewnie

zepsuć się nie mogła. Ale niech Ciocia iędzi, niechay nowe zabiera znajomości, my tu takze mamy czem się zajmować. Blisko od tygodnia mamy tu gościa, — gościa bardzo niepospolitego; — Ciocia ciekawa wiedzieć o tym gościu. — Otoż na ukaranie Cioci, że o nas zapomina, nie powiem ani kto, ani co, tylko powiem tyle, że się zowie Ludomir, że mnie wcale nie ma za trzpiota, (iak wszyscy). że iest bardzo dla mnie grzeczny, iednak podobno dla Malwiny ieszcze grzeczniejszy. — Ale, ale, Malwina prosi, błaga Cioci, aby iak nayprędzey do Krzewina wracała; niesłychanie pragnie tego, i powiada, że choć zawsze przytomność Cioci iey miła, nigdy iednak, iak teraz nie była iey potrzebna.

Ludomir jest wysoki, śliczne ma zęby, ale rzadko się śmieie; (co zdaniem moim nie jest dobrze), wzrok ma powłoczysty, i długie czarne oczy, które nigdy krótko niepatrzą. Wczora naybardziej to uważałam: muszę ci to opisać moja Ciocie kochana!

Wczora tedy po śniadaniu zasiadłyśmy z moją siostrą do krosienek, i Malwina prosiła Ludomira (który między innemi rzeczami przedziwnie czyta), żeby nam chciał przeczytać *Ludgarde*, oryginalną Tragedyą, która nowo z druku wyszła. Ludomir czytał przednio, z uwagą, sceny tkliwe zdawał się nietylko wzrokiem ale sercem czytać; iednak nie wiem, iak on to czynił, ale wciąż na Malwinę patrzył, i daleko bardziej w nię, niz w książce miał oczy wlepione, Malwina zamyślona nie wiem o czem

i strasznie nad robotą schylona, pewnie tego nie uważała, ale ja dobrze uważałam.... i to jeszcze śmiesznie Ciociu, że iak żyję, nigdy nie widziała takiego spojrzenia iak Ludomia, osobliwie kiedy na Malwinę patrzy. — Co Cioci powierzę iednak, to, że w tym samym Ludomirze (który z resztą bardzo mi się podoba), postrzegam wszelako niektóre wady, Naprzód często bywa zadumany, czasem bywa ponury, co nie iest dobrze. Onegday Malwina, chcąc go szczególniey poznać, bardzo niewinnie zapytała się o iego familią, i o rodziców gdzie są, gdzie zamieszkani? na te słowa twarz Ludomira zmieniła się zupełnie i zamiast zwykłej tkliwości która okazuje, głęboki smutek na niey się wyraził, gdy Malwinie odpowiedział. « Wiedzieć szczegóły o losie

tak mało znaczącego iak ja iestem iestestwa, nie może bydź przydatne nikomu ; niech mi więc wolno będzie na to iedno nie odpowiadać zapytanie »

Przyznay Ciociu, że tak naszą a osobliwie moją ciekawość dręczyc, nie iest rzeczą przyzwoitą, Ale ia ztąd widzę, iak Ciocia Ludomirowi wszystko daruie i nawet przeciw mnie i moiey ciekawosci bronieć będzie, gdy się dowie że ukochaną Cioci Malwinę z pożaru i okropney może śmierci uratował... *Co też ta Wanda plecie o śmierci, o wyratowaniu, i o iakimści Ludomirze, którego nikt i nie zna, a wszyscy go kochają etc. etc.* powie pewnie Ciocia, i prawdę mówic będzie, ieśli tak powie, bo ia sama, odczytawszy moy list znajduię, że ciężko w kupę go skleic i zrozumiec com chciała w nim

opisać. — Ale przyeźdź tylko iak nayprędzey do nas Ciociu kochana, a wtedy dowiesz się iaśniey o wszystkim, a tém czasem to przynaymniey iaśnie i wyraźnie wyczytay w liście twoiey (zawsze trochę szaloney) Wandy, że cię kocha i szanuje nayczulszém, naywdzięcznieyszém sercem,

P. S. Malwina, choć tego nieprzyznaie, zdaie mi się nie bardzo bydź zdrowa od nieiakiiego czasu, nie mogę dobrze rozeznać, czy weselszą. czy smutnieyszą ią znayduię; ale widząc w niey iakąś odmianę, rozumiem że to ze zdrowia pochodzi musi, lecz co mnie przytém uspokaiia, to- że świeższa i ładnieysza niż kiedykolwiek.

R O Z D Z I A Ł V.

C I O T K A,

Ciotka naszych dwóch siostr najlepsza była osoba ; o wszystkich podług siebie sądząc, o nikim złe nie sadziła, i nigdy nic w niczem nie widziała złego. Obydwie swoje siostrzenice z duszy kochała, ale dla Malwiny miała ledwo że niepowiem uwielbienie. Rozumiała ją byź doskonałą i prawdziwem wyobrazeniem tych heroin romansowych, które dobra nasza ciotka nad wszystko przenosiła, ale które oprócz w książkach, nigdy, a przynajmniej rzadko bardzo się znaydują. Malwina zaś by-

naymniey doskonała nie była ; miłą będąc, młodą i dobrą, do zbioru wielu przymiotów, łączyła niektóre wady. — Ale ponieważ składność do tego znajduię, niech mi wolno będzie szczerę dać tu wyobrażenie moiey Malwiny, i niech mi będzie wybaczone, ieśli się cokolwiek nad tym obrazem zatrzymam, — Przyznaię moja słabość do oryginału, więc nie dziwno bydz powinno, że się opisaniem iego dłużej nieco zabawię.

Malwina miała bardziey serce tkliwe, niż uczucia gwałtowne, i imaginacyą żywą i zbyt może wybuiała, co było skutkiem odludnego wychowania i wykarmionych myśli poezya i romansami, które młodą iey głowę często wiodły po miłej ale błędnej krainie omamienia. Zwrót dowcipu miała niepospolity,

i ten szczęśliwy a rzadki dar natury łatwego przypodobania się różnym wiekom, rozmaitym humorom, różniącym się charakterom, Miała tę łagodność niewieścią tak miłą w pozyciu i trafność naturalną, przy pomocy której, zawsze wiedziała co komu powiedzieć, iak kogo słuchać, i iak nigdy nikogo bolesnie nie obrazić, — Ta boiaźń tkliwa Malwiny, by nikogo nie razić bolesnie, przypomina mi co Autor ieden Niemiecki w iednym z dzieł swoich mówi: *Nie rań niczyiego serca, ranić iak iest łatwo — nie rań serca szczęśliwego. By mu szczęścia nie odebrać; pamiętaj, że szczęście iest szanowne, bo rzadkie, nie rań serca smutnego, bo nieszczęście, przez samą swoje powszechność szanowniejsze ieszcze!*

Malwina rozum miała właściwy. Wszystko widziała, niewiem czy le-

piey, ale inaczey iak wszyscy, co dawało iey myślom i wyrazom, coś szczególnie miłego. Łączyła w swoim charakterze różne sprzeczności; łatwo ia melancholia zaiąć mogła, a przytęm często bywała wesolą, i zabawy, moc wielką miewały na iey umyśle.

Nayszczęśliwiey żyć umiała na wsi i w samotności, a iednak, w dalszym ciągu życia, miasto, społeczeństwa, hałas wielkiego świata, bynajmniey przeciwnemi iey nie były. Wesoly i dowcipny humor pociagał ia czasem do usmiechnienia się, albo zażartowania z kogo; — ale w tęm łatwo się zawsze wstrzymywała, bo Malwina przed wszystkim i nadewszystko, była dobrą, właściwie dobrą. Ale Malwina była kobietą; mając powaby i przymioty naszej płci, nie była zupełnie wolną od iey przywar. Nie dość

czasem zastanowienia się i rozwagi w postępkach, (któremi nie zawsze roztropność, a częścicęy pierwsze poruszenia serca rządziły), i chęć może trochę zbytęczna podobania się, byłyby ię wadami. Ale te może przebaczonemi iey zostaną, kiedy czytelnik wspomni sobie, że Malwina nie iest dziełem idealmem lecz istotą prawdziwą, i że w istocie nikt nie iest doskonałym!

Malwina była ładną, powabną; często i łatwo w zyciu się podobała, chociaż i w piękności takż doskonałości nie miała. Była dosyć wysoka, giętki miała stan, i ruszenie pełne wdzięku; włosy czarne i gładkie iak kručze pióra, przy tem miękkie i łatwo się wiiące, czarne długie oczy, w których wszystkie uczucia duszy się malowały. Czasem w ich spoy-

rzeniu, coś anielskiego zastanawiało, a wkrótce figlarność tamże postrzedz można było. Uśmiech miała naywdzięczniejszy, płeć zwykle trochę bladą, ale radość i zabawa umiały twarz ię ożywić, która wtedy wesolą świeżością zajmowała.— Taką była Malwina;— cieszyć się będę, jeżeli mimo wad i niedoskonałości, łaskawych na siebie spotka czytelników, a teraz wracam do ciotki, któraśmy trochę niegrzecznie porzucili.

Odebrawszy list od Wandy. śpiesznie interessa pokończyła i do Krzewina wróciła. Zwyczajnym sobie dobroci uprzedzeniem natychmiast Ludomira pokochała, pobłażając nawet skrytości iego w wyjawie niu nazwiska.—
« Nie trzeba go męczyć niepotrzebnymi pytaniami, mówiła do siostrzenic;

dość nam wiedzieć, że Malwina życie mu winna, że jest dobry, miły w pożyciu, waleczny, i przynajmniej póki ręka jego zupełnie się nie zgoi, okrucieństwem byłoby ztąd go wypędzać.» Malwina, która niekoniecznie życzyła wyjazdu Ludomira, wsparta poważnem zdaniem Ciotki, szczęśliwą się uczuła. Zapomniała tego, że Ludomir z imienia iedynie był iey znany, i bez żadnych trosk ani myśli na dal, zaczęła używać a rozkoszą jego ze wszech miar przyjemnego społeczeństwa.

Ludomir wszystko w Krzewinie ożywił. Z nim przechadzki po kwiecistych dolinach i gajach poblizszych, przyjemniejszymi Malwinie się zdawały. Nikt lepiej od niego przedzierać się nie umiał w naygęstsze parowy, by iey lilii polnych nazbierać, których zapach szczególnie lu-

biła, i Malwina mimowolnie czuła, (choć sobie iasno nie tłumaczyła tego) że gdyby te lilie w pałacach znajdowały się przepaściach; toby Ludomir równie i tam po nie skoczył, gdyby Malwinie ich się zachciało. Nigdy głos Malwiny lepiej się nie wydawał, iak wtórowany głosem Ludomira, i kiedy razem śpiewali: *Dunque mio bene, tu mia sarai, si cara speme jo tua sero....* lub co podobnego. Malwina istotnie szczęśliwa, zapominała, że iakiekolwiek troski mogą być na świecie. Talentom swoim większego dodawała starania, widząc iak miłemi zdawały się dydz Ludomirowi. Przy nim pierwszy raz doznała przyjemności, którą nabyte wiadomości sprawić mogą, często z Ludomirem, rozmawiała o tem, co czytywała zwyczajnie równie widzieli, i równie o rzeczach sadzili; lecz kiedy

czasem Ludomir sprzeciwił się Malwinie, to i w tem przyjemności iakięś doznawała. Miło iey było słuchać Ludomira, miło iey było uczyć się od niego tylu nieznanych wiadomości; on pierwszy w życiu myśli iey rozumiał, uczycia zgadywał, imaginacyi nie gasił, i serca głęboko gdzieś schowanego, i nawet zimna zwykle okrytego zasłona, iak nikt w świecie, domyślać się uniał.

Ludomir, który kochał wszystko co Malwina kochała, lubił, co tylko ona lubiała, nie tylko iey, lecz iatwo i w krótkim czasie, wszystkim w Krzewinie przyjemnym i dogodnym stać się potrafił. Rady i domowe lekarstwa Ciotki, których mu obficie dodawała, na chorą iego rękę, z wdzięcznością przyjmował, choć ich nigdy nieużył. Z Wandą po górach biegał na wyścigi, i wie-

czorami gdy na tarasie przed domem wszyscy zebrani siedzieli, na prośbę iey nie iedna o strachach opowiadał historyą. Alisi maliny i poziomki naypierwsze przynosił. Wszystkim domowym drogim był nadzwyczajnie, bo w nim widzieli wybawiciela ukochanèy sobie Pani: ale Marcin, stary kamerdyner. szczególniejszy miał ieszcze do Ludomira affekt, bo choć zawsze oczem inszèm myśląc, uprzeymie iednak przysłuchiwał się czasem długim iego opowiedaniom, od których cały dom uciekał.

W takim stanie rzeczy dziwić się nie trzeba, że choć ręka Ludomira, dawno była zgoioną, nikt tego nie przypomniał; dnie i godziny tak mile miały, że czwarty miesiąc się kończył, a nikt w Krzewinie nie pomyślił, żeby Ludomir mógł z niego kiedy wyiechać.

Teraz, gdy co minęło, przeczytał czytelnik, pytam się, co rozumie? Ludomir, czy kocha się w Malwinie? Malwina, czy kocha Ludomira? ja na to odpowiedzieć nie mogę; tyle tylko do mnie doszło, że na ów czas Malwina jeszcze sama dobrze nie wiedziała, czyli wiedzieć niechciała; co so się w iey sercu dzieie. — Nie śpieszmy się więc z wyiawieniem téy tajemnicy; biedna Malwina może i tak zbyt prędko ją odkryie.

R O Z D Z I A Ł VI,

D Z I E Ń I M I E N I N .

Szczeniwą iest rzeczą w życiu bydl kochanym. Ale ia dokładam, że kó-
chac iest iuż szczęściem, może na-
wet pierwsze przewyższaićem.

Kiedy kto bardzo kocha, tẽm sa-
mem myśli, dusza, serce iego są zaięie-
Zadna godzina nie iest oboiętna,
dnie iak naymiley są napelnione tẽm
iedynẽm zaięciem, tã iedynã myślã,
iakby los ukochanego sobie ieste-
stwa, nie tylko w wãżnych, ale i
w naydrobnieyszch okolicznościach
usczeniwiac i przyozdabiac. Te ma-
łe codzienne starania, przyiemno-

ści, przysługi; są dla serca tem, czem są kwiaty w naturze. Życie słodzą i ubarwiają, tak iak kwiaty stroją i umiatają krainę, i ieśli nader miło iest odbierać ie od kochającej osoby, tysiąc razy iest miley krociami ie sypać na ulubiony cel swe-go kochania.

Tak i w Krzewinie myślano i zadney okoliczności nie omieszkiwano, by przyjemność iaką uczynić tym, których się kochało. Dzień imienin Malwiny nadchodził i Wanda z Ludomirem umyślili, żeby dnia tego zabawić ią niespodzianą iaką rozrywką. Naprzeciwno domu była duża kępa zielona; cienistemi umaiona laskami. Wieczorem, gdy Malwina okno otworzywszy, chciała wyjść od siebie, postrzegła na łasze, która blisko pod iey domem od kępy ią dzielila, ładny bacik z masztem i białą cho-

ragiewką. Zamiast powrozów, wite z bławatków sznury, lekkim wiatrem się kołysały, a przewoźnicy parzysto poubierani, różnofarbne wstążki mieli u kapeluszków. Łatwo Malwinę namowili, aby siadła w ten ładny bacik i w krótkiej chwili na brzeg kępy ją przewieźli. — Idąc czas jakiś ścieżką między gęstą leśczyną, usłyszała odgłos muzyki, który coraz dalej ją prowadząc, doprowadził nareszcie tam, gdzie się odsłoniła oczom Malwiny łąka najzieleńsza, krągiem najpiękniejszych drzew otoczona. Pod temi drzewami było mnóstwo ludzi na rozmaite grona i kupy podzielonych; bo oprócz mieszkańców Krzewina, całe sąsiedztwo było zaproszone. Naprzeciwko Malwiny, gdzie drzewa największą wystawiały gęstwinę, pięknymi krzewinami miejsce było ozdobione, i

wśród tęj świeżej zieloności, ułonna Wanda, na kamiennęj stojąc podstawie, okazywała Bóstwo *Przyjaźni*. Lekka biała szata ją okrywała i wieniec z bluszczu na skronie był zwieszony; trzymała w ręku długi upłot z najpiękniejszych kwiatów. Alisia pod różanym siedząc krzakiem, *mitość* udawać miała i z figlarna swoją twarzączką doskonale swoje grała rolę. Krocie iey złote wiiących się włosów; niebieska utrzymywała przepaska; na dziecinnych barkach złoty kołczan ze strzałami spoczywał, i Alisia a raczej *mitość* z uśmiechem patrząc na *przyjaźń*, drugi koniec trzymała kwiecistego uplotu. Od dębu do dębu szal purpurowy zawieszony, służył za dno temu uymuiącemu obrazowi, a *czas* z kosa w ręku, w postaci sędziwego starca, ulatując na-

wet, dosypywał tam ieszcze kwiatów.
Na kamieniu te słowa były wyryte.

Przyiaźń i miłość łącząc wiernych serc
daniny,
Wiły ten uplot w świeżość i wonie bo-
gaty;
Oby tak na dni wszystkie nadobney Mal-
winy
Czas ulatuiąc, sypał pełną dłonią kwiaty!

Radość i wdzięczność Malwiny
łatwo sobie można wystawić; i go-
ście, i przyjaciele, i słudzy, wszyscy
ją ostąpili, winiszowali, szczerze do-
brze życzyli, bo dobrą Malwinę po-
wszechnie kochano. Z rozrzewnie-
niem wszystkim dziękowała, ale u-
lubioną swoją Wandę nacyjzuley do
serca przycisnęła. Wanda, u której
wstrzemięźliwość w gadaniu, nie by-
ła cnotą pierwszą, przysuwaiąc się

do ucha Malwiny, « Siostrzyczko, rzekła, jeszcze komuś powinnaś dziękować; bo ja, prawda, zem szczerą chęć miała obchodzić najświętniey imieniny twoie, ale nic nie mogłam wynaleść dobrego. Zaden koncept do głowy mi nie przychodzi. Ludomir wszystko znalazł, wszystko ułożył; on wiersze napisał, bacik ustroił; on to miejsce wybrał, od rana pracując sam go ozdobił; iednym słowem, bez niego nigdybym ładu nie była doszła, ja tylko gości pozapraszałam i rozkazałam podwieczorek. »

Na te słowa Wandy, Malwina natychmiast zaczęła szukać Ludomira, ale w tłoku kryjącego się nie zaraz znalazła. Doszedłszy do niego zmięszala się i nie prędko się zebrała powiedzieć: « bardzo też to ładne było. »

W tem gości szczęśliwie nadeszli. Podwieczorek wszystkich zaiął, który gdy się trochę późno zaciągnął, ciemnym już mrokiem przyszło do Krzewina wracać. Kilka bacików znalazło się jeszcze ładniejszych od pierwszego, Chińskimi kolorowemi lampami oświeconych. Społeczeństwo, podzieliwszy się na gromady, siadło w te baciki, i przy odgłosie muzyki, najprzyjemnię wszyscy łacnę nazad przepłynęli. Gdy szli tłumem do batów, Ludomir podał rękę Malwinie, i ta, po długim milczeniu, głowy nie obracając, odważyła się nareście mu powiedzieć; *ułożyłam sobie, żeby ta łaczka, tak ładnie dzisiaj przystroionu, odtąd zwała się taką Ludomira.* — O! niech ona przynajmniej czasem przypomni biednego Ludomira! odpowiedział on z najgłębszem westchnie-

niem. W tem dochodzili do batu, i na te jego słowa Malwina, mimowolnie chwyciła go za rękę, iak żeby się bała, że ją chce porzucić. Ale to zapewne z przezorności było, żeby w wodę nie wpaść; — ja przynajmniey tak rozumiem.

Przyechawszy, damy do swoich pokoiów udały się na chwilę, by odświeżyć swoje ubiory; za ich powrotem, bal się zaczął, i późno w noc trwał iak nayweseleý. Niewiem iednak, czyli różnemi uczuciami roztkliwiona Malwina, właściwie była wesolą. Czy długo i dobrze po tym balu spoczywała, w przyszłym dowiemy się rozdziale.

R O Z D Z I A Ł VII.

W Y Z N A N I E.

MILYM był, nader miłym dla Malwiny dzień iey imienin, ten dzień w którym tyle miała dowodów zaięcia się nią Ludomira. Ale ten dzień minął. — Niestety! najszcześniejsze zawsze nayprędzey miiaią! Wróciwszy w wieczór do siebie, te słowa iego: *niech ta łaka przynajmniej przypomni kiedy biednego Ludomira*, słowa, które z tak bolesnem wyrzekł był westchnieniem, ustawnie w uszach iey, a raczey w sercu brzmieć zdawały się. Dotąd bez żadnych trosk nadal, ani rozwagi,

z spokoynością używała tysiącznych przyicmności, które wyływały z przytomności Ludomira; ale te kilka słów wyrzeczonych stały się urokiem, który ją z nader miłego oczarowania ocucił. Ta zielona niewiadomości zasłona, która iej oczom przyszłość i własne zakrywała serce, spadła raptem. — Pierwszy raz Malwina pomyślała, że Ludomir mógłby ją porzucić; — pierwszy raz uczuła, że z nim i słodycz życia by ją porzuciła. Z trwogą dostrzegała, ile iego pamięć głęboko w iej sercu wyryta; z trwogą rozważała, że ten Ludomir tak iej miły, tak do iej życia potrzebny, tak (wyrzec nareszcie trzeba) ukochany, zupełnie był iej nieznaiony, że niewiedziała, czem ani kim on iest, i że tajemnica, którą się otaczał, mogła równie występki iak i nieszczęścia ukrywać. Na-

reszcie że tenże sam Ludomir, choć nią iedynie zdawał się zaiętym, nigdy dotąd słowa o miłości nie wyrzekł, i z szczególnem nawet staraniem szukał tego, by sam na sam nigdy się z nią nie znaydował. Te wszystkie rozwagi, gdy Malwina uczyniła, i stan serca, rzecz można, przed zimnym rozsądkiem rozwinęła, tysiączne troski, boiaźni, zale, których nigdy dotąd nie była znała, wcisnęły się raptownie w iey duszę i dziwić się nie trzeba, ieźli świtać iuz zaczynało, a Malwina oczu ieszcze nie była zmrużyła. Nie mając iuz nadziei zaśnięcia i strudzona naysmutniéyszemi myślami, wstała, lekką na siebie suknią wzięła, by wyjść z pokoju, sądząc ze świeże ranne powietrze, osłabiony umysł orzeźwi. Nim wyszła, mimowolnem poruszeniem zaięta, padła

na kolana, i z tkliwem uczuciem rzekła: *O! Boże litosciwy, który Ojcem pozwalasz nazywać siebie, nie opuszczaj mnie nigdy! Nieszczęśliwe li-
sy z zupełnem oddaniem się twęj wo-
li przyjmę od ciebie, iakie bądź ze-
chcesz na przyszłe moje zstać lata,
ale Boże litościwy, broń mnie od po-
stepków, któryby na nie zasługiwać
mogły!*

Tę krótką wymowiwszy modli-
twę, Malwina mocnieysza się u-
czuła. Okno otworzyła, i chcąc
czemścić się rozerwać, wzięła gita-
rę z sobą i wyszła na taras, który
w około dom opasywał. Ranek nay-
piękniejszy, naypogodniejszy dzień
obiecował. Gęste krople rosy lskni-
ły się na listkach ziół i kwiatów
którym blasku i świeżości dodawa-
ły. — Powietrze było uwonione kwia-
tem pomarańcz, do których lekkie

zapach mirtu się mieszał. Skowronki w górę wzlatując, i ziemby na gałązkach radośnie zorzę witały, pszczoły brzęczały koło kwiatów, rybki skakały w wodzie. Zdaleka słychać było wesołe śpiewy oraczów, i ryk trzód na paszę wychodzących. Cała natura budzić się zdawała, by nowych używać rokoszy. Ale powszechna ta radość, zamiast coby ją miała rozerwać, boleśniej jeszcze serce Malwiny ścisnęła. Ah! nigdy skryte troski boleśniej się nie czują, iak wpośród okazałości szczęścia, lub w gronie zabaw i radości!

Malwina zadumana, patrząc na tę piękną krainę, w zamyśleniu oparła się o duże pomarańczowe drzewo, które kwiatem obsypane było. W tém lekki wietrzyk zawiał, i białe listki tego kwiatu, iakby śnieg gęsty całą Malwinę okryły, *Ah nie-*

stety, pomyślała, ten rodzaj kwiatów później od innych się rozwija, najpóźniej opada; — nie długo i liście opadać zaczną, nie długo jesień nadejdzie! o jakże prędko to lato minęło!

Schodząc potem z tarasu, Malwina weszła na wał, który panował nad brzegiem łąchy, zdobył ogród i razem bronił go od szkodliwych wylewów. Ławka stojąca pod rozłożystym kasztanem na końcu wału, wabiła ku sobie. Widok na łąkę, na kępę, na wisłę, i kraina najpiękniejsza, szczególnie to miejsce miłém czymyły. Malwina tam spoczęła, i zdiawszy z głowy biały welum co ją osłaniał, machinalnie wzięła gitarę i pograwszy czas nieiaki, te słowa, które uczuciom iey odpowiadały, cichym głosem śpiewać zaczęła;

Bydź kochaną iak się kocha,
Znaleść duszę do swęj duszy,
Czyliż to prośba zbyt płocha:
Co niebios nigdy nie wzruszy?

Szcęścia domyślne marzenia,
Serc rokosze nie zmienione,
Próżne uczuciów mamienia,
Nie będziecie uisczone!

Dziwią się czasem, gdy zakochani szczególnem iakimści szczęściem zawsze trafnie zuayduią się tam, gdzie mogą choć na chwilę, uyrzec cel swego kochania. Nie czarami to się dzieie, i należałoby zaprzestać temu się dziwić. Łatwą jest rzeczą do poięcia, że ci, co iednostaynemai myślami są zaięci, równie poniekąd działaią. Ludomir iedynie Malwina zaięty, iak ona podobnie nim, ze świtem takoz był wstał, i

wyszedł był do ogrodu, by myśleć o niej swobodnie, Usłyszawszy iey głos, przybiegł od niej niepostrzeżony; lecz iak przestała śpiewać, Ludomir z nadto iuz pełnem sercem, by rozum najmnieysza mógł utrzymać przewagę, straciwszy głowę zupełnie, padł do nóg Malwiny, i nic innego nie mógł wymówić, iak: *przestraszyłem cię Malwino! ah daruj!... wybacz... alez bo ia tak nieszczęśliwy!...* Malwina złękciona, zmieszana oniemiała. Serca iey tyłu przeciwnościami w ten moment było miotane, ze sama niewiedziała, co ma odpowiedzieć; ale oczy podnośszy na Ludomira, postrzegła wyryty na iego twarzy takowy wyraz żalu i cierpienia, ze ten słaby cień gniewu, który między innemi uczuciami z iego raptowném zjawieniem mignął się był wiéy my-

ślach, zniknął zupełnie, i nic innego w sercu nie zostało prócz najsilniejszej litości. Zamiast wyrazów gniewu, śpiesznie wyrzekła: — *O nie bądź nieszczęśliwym! to nawięcejby mnie dręczyło, tego najbardziej wytrwałbym nie mogła.* Te kilka słów wymówiwszy, zapłoniona i zmieszana, twarz w welum schowała, i rzewnie zaczęła płakać, — *Malwino uwielbiona. Aniele dobroci!* (rzekł Ludomir) *nie płacz... ah nie płacz nigdy... ostatnia kropla krwi mojej radbym odkupić każda łzę, która wylewasz.* Hałas z przyczyny nadchodzących osób, który zdaleka usłyszeli, przerwał tę rozmowę. Malwina z pośpiechem wstała, Ludomir zatrzymując ją najsilniejszym dołożył rozrzewnieniem. — *Malwino, na wszystko, co ci tylko jest drogiem w świecie, zaklinam cię, nie porzucay*



Scen. per Saverij M. P. S. C. G. G. del. Augustinus. P. S. C.

„chyba z życiem go stracę.”
<http://rcin.org.pl>

mnie, nie zostawny z tą myślą tak okropną, zem cię obraził. Przez li- tość przynajmniej, bo niemożesz. po- iąć, nie poymiesz nigdy, co to iest smieć ciebie kochać, nie mając nigdy nadziei, bydz od ciebie kochanym!

Malwina w ten moment, tak ży- wo w sercu czuła, ile Ludomira ko- chała, ze nie mogąc pojąć, by on się tego nie domyślał, to słowo: *Niewdzięczny!* z ust iey się wym- knęło, a słysząc coraz bliżey nad- chodzące osoby, czas miała tylko nayspieszniey uciec, welum swój łzami iey ieszcze zmoczony, w tym pośpiechu zapomniawszy.— *Niewdzię- czny!* z niewypowiedzianém uczu- ciem powtórzył Ludomir, i schwy- ciwszy welum Malwiny, do serca go przyciskając rzekł z zapalem: *chyba z życiem go stracę.*

ROZDZIAŁ VIII.

LIST DRUGI LUDOMIRA DO TELIMENY.

16 Sierpnia, w Krzewinie.

MATKO kochana, wybacz jeśli twoim radom nie mogę być posłusznym, dłużej ciągnąc podróż moja, W Krzewinie zostać nie mogę, a reszta świata żadnej dla Ludomira nie ma ponety. — Do ciebie chcę wrócić i w dzikich odludnych lasach naszych zamknąć się na zawsze; od miłości, od szczęścia, od Malwiny... daleki od Malwiny, o nieba!... i kiedyż, w jakim moment?.. kiedyż oddzieram się od niej? w tej chwili, gdy pier-

wszy raz dostrzegł promień szczęścia, szczęścia nad wszelkie wyrazy, szczęścia którego serce Ludomira, do cierpienia tylko przywykłe, niezdolne może byłoby i wytrzymać!....
Wszystkie więzy iakie tylko są najmilsze, najdroższe, zatrzymują mnie w Krzewinie, ale uczciwość iechać każe; — iadę jutro.

Matko, czemuż z dziecinnych mnie cierpień wyratowała? żeby nie twoie starania, od kołyski prosto w zimny grób wchodząc, nie znalazłbym trosk, cierpień, nie znalazłbym palących uczuciów, któremi teraz umieram, ah! niestety, któremi iedynie żyję.

Nie mogę dłużej pisać; — może po chwili spokojniejszy trochę, potrafię list mój dokończyć, ale teraz nie iest w moiej mocy i słowo iedno więcej dołożyć.

Tegoż d. o 12stey w nocy.

Stało się, iuz wszystko dla mnie się skończyło! ostatni raz uyrzałem Malwinę.... iuz ja iey widzieć, iuz iey słyszeć nigdy nie będę; — iuz też szczęście i nadzieie wygasły na zawsze w sercu Ludomira! Ale wybacz matko! wybacz.... dręcę twoją czułość memi wyrzekaniami, nie tłumaczac wyraźnie ich przyczyny Dla ciebie iedney mogę znaleźć moc wyszczególnienia, co cierpię; słuchay więc opisu uczuć moich od czasu mego tu przyjazdu.

W pierwszych listach, com do ciebie pisał, postrzedz musiałeś, że pierwszy rzut oczu moich na Malwinę, natychmiast mnie ku nię całkiem zniewolił. Późnię, łagodność iey duszy, tysiaczne powaby, talenta. przymioty, coraz bardzięj mnie przywiązywały. Każdy dzień, każda go-

dzina droższą, miłszą ią memu sercu czyniła. W toż serce, w duszę moią, we wszystkie uczucia i myśli wcisnęła się nieznacznie, tak łagodnie, że sam nie postrzegął, iak gwałtownie nademną panuje. A lic dziś rano, ... o lube i okrutne wspomnienie! zapomniawszy wszelkiej rozwagi, nie pomnąc na tę okropną granicę, która dzieli na zawsze Ludomira od Malwiny, u nóg iey moie nieszczęsne wyznałem kochanie! Matko posłuchay daley. W iednym spoyrzeniu, w iednym słowie, przez nią wyrzeczonym, dostrzegłem, poczułem raczey, że ta Malwina, ta uwielbiona, boska Malwina, przez powab serca swojego, mogłaby moią Malwina zostać. niebo się otwożyło w tей chwili. — Nicem nie widział, nie myślał, nie czuł na świecie, prócz tego, że ią kocham nad

życie, nad siebie, nad wszystkich, nad wszystko. Niestety! równie była zmienną iak zachwycającą ta chwila nieporównanego szczęścia; wspomnienia uczciwości natychmiast mnie z niej wyrwały. Pókim Malwinę zupełnie rozumiał obojętną, póty jeszcze w Krzewinie zostać mi się godziło, bom swoją tylko, a nie iey spokojność wazył i szczęście. Ale gdym dziś rano dostrzegł tajemnicy serca tego anielskiego.... niestety! wszakże nigdy, nigdy Malwina bydz moją nie może! nigdy świetna, szlachetna, bogata Malwina losu swojego łączyć nie powinna z losem opuszczonego, bez stanu, bez imienia nawet, nieszczęśliwego Ludomira! — Matko! iechać trzeba. Jutro równo ze dniem, gdy Malwina jeszcze spoczywać będzie, Ludomir Krzewin opuści. Raz jeszcze może ieden,

gdybym ją uyrzał, nicby mnie od niej oderwać już nie potrafiło. Dziś w wieczór jeszcze ją widział, jeszcze ten głos słyszałem, co jedynie do mego serca trafić umie; jeszcze z nią zachodzące uyrzałem słońce.... niestety! ostatni raz w oczach moich tę tak lubą porzucało krainę, i na wschodzący Xieźyc ostatni raz z Malwiną patrzałem! Miliony gwiazd po niebieskiem iskrzyły się sklepieniu, z nią i z Wandą siedliśmy w miejscu otwartem, gdzie nic okręgu nieba nie zasłaniało. — *Nigdy*, rzekła, *nie mam bardziej napetnionego serca wielkości Boga, iak w pośród cichey pogodney nocy krociami gwiazd i powaznym blaskiem Xiezyca oświeconey. Wspomnienie zesztých osób i myśli o przyszłym zyciu mnie natychmiast zajmuią. — Ludomirze! czy spotkamy się tam? iakie twoie w tem przeczucie? —*

*Malwino! (łzami zaćmiony rzekłem),
spotkamy się, zobaczymy się jeszcze
tam, tu... ah, znajdziemy się!*

Wymówić nie niemożem nic
więcej... Matko! czemuż trzeba by-
ło, by te zapytania czyniła właśnie
wtedy, gdy myśl wiecznego rozłą-
czenia napępiała serce moje? —
Wstała Malwina, iam jeszcze iey rę-
kę trzymał. — *Idźmy, rzekła, już po-
żno, obaczmy się jutro.* — Ah! oba-
czmy się, krzyknąłem, w jakim-
kolwiek bądź świecie!...

Odeszła wałem, iam wryty sta-
nał; długom ią gonił oczyma, — po-
tém, padłszy na ziemię, potok rze-
wnych łez wylałem, pobiegłem ku
tarasowi; mignęła się jeszcze biała
iey suknia, która wiatr ku drzwiom
ogrodu powiewał — wyciągnąłem rę-
ce.... Niestety! zniknęła na zawsze!

R O Z D Z I A Ł IX.

O D J A Z D.

Nazajutrz Malwina, ledwo oczymiała otworzone, gdy iey list oddano. — Przeczucie iakieś trwożliwe natychmiast ją przerażyło, i nie pytając się nawet, zkąd był ten list, drżącą ręką kopertę oddarła, i łatwo pojąć można, z iakiem uczuciem, co następuje, czytać zaczęła:

LIST LUDOMIRA DO MALWINY.

Malwino. kocham cię nad wszelkie wyrazy, kocham cię, iak cię

nikt nie kochał, iak cię nigdy nikt kochać nie będzie! — W tobie moje życie, w tobie moje szczęście, a dla ciebie i życia i szczęścia bym odstąpił. Malwino! w iedney krótkiey chwili, Niebom uyrzał! iedno twoie słowo, iedno spojrzenie to sprawiło, i wszystkie uczucia naytkliwszey rokoszy zalały serce moje. Ale niestety! natychmiast ocucony z drogiego omamienia, stracony ze szczytu szczęścia, całą przysłość moją widzę teraz, iak okropną przed sobą pustynię, a w sercu tylko rozpacz i śmierć znajduję! Malwina nie może, Malwina nie powinna być moją!

Ale Malwino wierzay mi, wierzay, bo to tak prawda, iak prawdziwa iest miłość moja; nie występny, ale nieszczęśliwy Ludomir, nie go dzień iest ciębie! Występny Ludo-

mir nie mógłby: nie umiałby kochać anielskiej Malwiny, — ale nieszczęśliwy Ludomir nie powinien śmieć być od niej kochanym.... Powiesz może, iż wtedy nie powinienem był i wyznać mojej miłości; — i to ci przyznaję. Tailem ją i nie poymiesz nigdy, z iaką okropną męką tailem ją póty, póki siły, póki możność wszelka taienia jej dluzey nie opuściła mnie zupełnie. Ale Malwino. jeśli wyznanie jej nareście było winą, wspomnij też i o karze; — rzucam cię, rzucam na wieki!

Malwino! ty która dobroci najskliwszém na tej ziemi iesteś wyobrazeniem, Malwino, o iedną i ostatnią błagam cię łaskę! Wierz, bądź przekonana, że tajemnica, którą się okrywam, żadnego nie kryje występku, ale wiakiej bądź okoliczności, nie szukaj nigdy, nigdzie,

podnieść zasłony losu moiego... Kiedy przy tobie będąc, od ciebie samem zapytany, nie wyjawilem ci go, znakiem iest, że to wyjawianie bynajmniey tobie nieużyteczne, nayboleśniey pomnożyłoby moje nieszczęście. — Raz ieszcze cię błagam, nie wspomina y nawet żeśmy się kiedy widzieli.

Te są ostatnie słowa, które odemnie usłyszysz. Zegnana cię Malwino nad wszelkie wyrazy uwielbiona! Niech wszystkie błogosławieństwa opatrności na ciebie się zlewają! — Zyi szczęśliwa; ia umierając, z przekonania powiem łescze: nikt nie kochał, nikt nigdy tak kochać nie będzie Malwiny, iak nieszczęśliwy Ludomir! Bądź zdrowa! raz ieszcze, raz ostatni, żegnam cię na tey ziemi, ty naypierwsze, ty iedyne szczęście życia moiego!

Po przeczytaniu tego listu, rozrzenie nayewiększe, żal, zdziwienie, trwoga nawet iakaś, przeięły raptownie Malwinę. — Miłość Ludomira, uczciwość postępku iego w oderwaniu się od niey w tey chwili, gdy iasno mógł przeniknąć serce iey ku niemu, wspomnienie ze iey życie ratował, odraza od tajemnicy którą się okrywał, wszystko to burzyło bez ładu umysł iey zmęczony. Lecz myśl ta, ze Ludomir Krzewin opuścił, ze iuz go może nigdy nie uyrzy, wszystkie inne myśli i uczucia wkrótce zatłumiła. Mimo rzewnych łez, które z oczu iey na Ludomira list spadały, raz ieszcze przeczytała te tkliwe iego wyrazy, i do tych słów dochodząc: *nikt cię nie kochał, nikt kochać nie będzie, iak nieszczęśliwy Ludomir*, obfitość łez nie dozwoliła daley czytać, i w uniesie-

niu naytkliwszem — *Wszystkie prze-*
czucia mego serca (pomyślała) upe-
wniaia mnie, że te słowa są prawdzi-
we. Ludomirze, winnam ci życie!
winnam ci więcey iak życie, bo od-
bieram od ciebie dowody naygwat-
towniejszey i razem nayszlachetniej-
szey miłości; miłości, która sie iedy-
nie moiem a nie swoiemi szczęściem i
spokoynością zajmuie! Za takie do-
brodzieystwa cóz ia niestety uczynić
mogę? iedną iedyną ofiarę, ale któ-
ra wszelkie inne przewyzsza, bo ofia-
rę dochodzenia losu twoiego, bez wy-
iawienia którego, czuję, że zadnego
uuz dla mnie prawdziwego szczęścia
bydź nie może. — Ty tego pragniesz,
ten ieden dowód dadź mogę niestety
twoiey pamięci! O Ludomirze, prz-
siegam więc tobie i miłości prawdzi-
wey, że w iakieyholwiek bądź okoli-
czności, chociazbym miała do tego

*naywiększą sposobność, nigdy, chyba-
byś sam chciał mnie ją wyjawic, ni-
gdy nie będę szukała odkryć tej taie-
mnicy, którą los swój i wszystkie po-
stepki okrywasz!*

Ta przysięga i ważność, która do niej przywiązała ułagodziła nieco zbolale serce Malwiny, bo zdały się iey być jeszcze ostatniem ogniwem więzu który ją z Ludomirem połączał. Pocięczała się myślą, że czyni ofiarę zadaną od niego, i niedomyślała się niestety, ile ważna ile ciężką do wykonania ta ofiara dla niej stać się miała. Trochę będąc spokojniejszą, Malwina rozważać zaczęła iak daley działać miała. Czula dobrze, iż rozmawiać często o Ludomirze, smutek wewnętrzny wyjawiać i dzielić go z drugimi, naypewniejsze były sposoby karmienia uczuć i myśli, które rostopność przydumiać radziła. Ta

uwaga, tyle miała mocy na ięu umyśle, iż przedsięwzięła natychmiast o liście Ludomira nie wspominać, a do tego przedsięwzięcia, miłość była prawdziwszą ieszcze niżli roztropność pobudką, wlewając w serce Malwiny zazdrość iakowąś i chęć, żeby nikt prócz nięu nie znał iego uczucia, nie cierpiał z iego cierpień, nie tęsknił po iego odieździe, ani wiedział tego odiazdu przyczyny.

Przytęm Malwina bała się słyścić powtarzane uwagi, które sprawiedliwie można było czynić nad tajemnem postępowaniem Ludomira i które dla nięu nieznośnemi były, gdyż rzucały cięu iakiś przykry na obeyscie się iego, a Malwina i cienia się bała we wszystkięm, co się tylko do Ludomira siałęło.

Te wszystkie przyczyny zebrane zrzędziły, że gwałt nie łatwy do

znoszenia czyniąc sobie, potrafiła smutek i właściwy stan serca utaić, i oblekwszy postać dość obojętną, zeszła do sali, gdzie siedzące przy śniadaniu ciotka i siostra już na nią czekały.

R O Z D Z I A Ł X.

K R Ó T K I.

Niesprawiedliwie sądzą ci, co rozumieją, że w pierwszych momentach straty jakiej nayboleśniej się ią cznie, Wtedy przynajmniey ten wypadek wszystkich zajmuie, mówiąc o nim; trudnia się nim. Osoba, którey się żaluie, nie widzi się zapomniana, nie widzi się tak zupełnie obca ieszcze. Serce nieprzyzwyczajone do żalu poniey, nie przypuszcza tey myśli, że ten żal bez zwrotu, i początek nayokropnieyszego rozłączenia, zdaie się tylko od-

jazdem na chwilę. Ale gdy dnie, godziny, okliczności następujące idą po drugich, niezwracają nigdy osoby którą się kocha! którey się potrzebuje, która codziennie, co moment nam braknie, — ah! wtedy dopiero sprawdza się nasze nieszczęście, i z naydotkliwszem westchnieniem mówi się ustawnie: — *Niestety! istotnie na zawsze stracony!*

W pierwszey chwili zniknienia Ludomira, Malwina podług tego, co była przedsięwzięła, dość mocy miała nad sobą, aby z obojętną niemal postacią przysłuchiwać się nawet mogła niektórym o tym wypadku rozmowom Ciotki swoiey i Siostry. — *Prawda*, mówiła raz Ciotka, *że to taienie swego stanu, swego nazwiska, ten raptowny odiazd, są rzeczy nie iasne, i ia nawet nic podobnego w zadnym nie czytałam Romansie.*

Ale wszelako zapomnieć nie mogę, że Malwina mu życie winna, a wierzyć nigdy nie potrafię, żeby ten Ludomir, który coś tak szczególnie szlachetnego miał w całym obejściu się swoim, tudzącym tylko był awanturnikiem.

Ale te ostatnie słowo boleśnie dotknęło Malwinę. *Jeśli takim jest w istocie, rzekła z pośpiechem, to ja tylko z tego cierpieć powinnam za karę mojej nierostropności, w przyimowaniu go w mój dom. — Ale, jeśli też tak nie jest, okrutnie byłoby, niesprawiedliwie, takim krzywdzącem posądzeniem odwdzięczać mu starania jego podczas pożaru i ratowania na ów czas mego życia. Nie mogąc więc z pewnością o jego postępkach sądzić, najlepiej zdaie mi się o tem wszystkim iak nymniéy rozmawiać.*

Te słowa Ciotce mowę zamknęły, i z razu by życzeniom Malwiny zadosyć uczynić, a później naturalną czasu koleją, przestano na-przód w Krzewinie wspominać, a później i myśleć o Ludomirze. Tego Malwina wymagała, tego zdawała się życzyć, a gdy to nastąpiło, nayżywiej tęsknota iey się pomnożyła, Nic iuż ią nie bawiło, nic nie zajmowało, Ponura iesięń, po tem tak miłym lecie, szarą dodawiając powłokę całej naturze, pomnożyła ieszcze i tak iuż dość smutą iey melancholią, — Po kilku miesiącach tak przebytych, zdrowie iey nareszcie z stanu duszy cierpieć zaczęło. Sen zupełnie straciła, i iescć mało co mogła, twarz bladejsza ieszcze iak zwykle i częste słabości; zastraszyły mieszkańców Krzewina. Dobra Ciotka bardziej ieszcze zastraszo-

na iak drudzy, i rozumiejąca, że starania doskonałych lekarzów stolicy wkrótce Malwinie pomódzby mogły, osadziła że Malwina w Krzewinie zimować nie może, i że dla polepszenia zdrowia iechać powinna do Warszawy, A że załoba iey dawno była skończoną, nie temu projektowi nie zdawało się przeszkadzać. Ciotka sama byłaby chciała w tey drodze Malwinie towarzyszyć; ale tak młodą ieszcze Wandę do wielkiego świata zawozic, ni też zostawic iey nie mogła. Wanda, która choć z mnieyszem doświadczeniem, iaśniey może od Ciotki domyślała się przyczyn smutku i słabości siostry, iesli nie w lekarzach, to w poniewolnych roztargnieniach spodziewaiaca się dla siostry pomocy, także na tę podróż silnie ją namawiała.

Smutną obojętnością przeięta Malwina długo i słuchać tych rad nie chciała; ale nareszcie widząc, że tem pomnażała troski tyle dla siebie tkliwych przyjaciółek, i gdy od wyjazdu Ludomira każde miejsce iednakowem iey się zdawało, w żadnem nie przewiduiąc dla siebie przyjemności, na wszystko zezwoliła, i siostra z ciotką bojąc się, aby ieszcze zdania nie zmieniała, w kilku dniach wszystko poukładaly, i ostatniego Listopada w tęgi mróz, iasnem słońcem zaiskrzony, Malwina zalana łzami, po naytkliwszem pożegnaniu z drugimi swemi przyjaciółkami, i z tak lubym iey Krzewinem, siadła do pojazdu, i z smutnem i ściśnionem sercem puściła się w drogę do Warszawy. — *Pisuy do mnie czesto i otwarcie* (ostatnie słowa były, które Wanda cicho iey wy-

mówiła) *i wiesz, że choć ja niby to trzpiotem tylko bydz zdaie się, serce iednak moje zawsze twoie rozumie. Dzielic twoie cierpienia i cieszc się twoiem szczęściem zawsze, zawsze Wanda potrafi.*

R O Z D Z I A Ł X I.

W A R S Z A W A.

LIST MALWINY DO WANDY.

z Warszawy 5 Grudnia.

Moia Wando luba! obiecałam pi-
sywać często i wyszczególnić ci co
tylko mi się zdarzy. Naymilszą dla
mnie iest rzeczą wypełnić tę obie-
tnicę. Od tego zaczynam, czemu
łatwo uwierzysz, że mi z głębi du-
szy żal było z tobą się rozłączać.—

Nigdy Warszawa ze wszystkimi swemi przyjemnościami nic takiego mi nie utworzy, cobym tak kochać, tak lubić mogła, iak moją lubą Wandę. Ale o tem iuż dawno wiesz, więc od czegoś nowego zacząć muszę.

Dwa dni moiey podróży były zupełnie iednakowe i niekoniecznie zabawne, Śniegu, śniegu, i śniegu napatrzyłam się do woli, a ty wiesz iak ia śniegu nie lubię. Wczoray iednostayny ruch poiazdu. i milczenie zupełne, którego drzymiąca Frankowska siedząc przy mnie bynajmniey nie przerywała, dały mi porę do przyjemnego dumania. Myślałam o naszym tak mile przepędzonem lecie. Każdy nięmal dzień, naydrobnięsze okoliczności, rzeczony słowa, kolor dnia, zapach powietrza, wszystko zdawało mi się

widzieć znowu i czuć na iawie. Zanurzona w tych dumaniach nie uważałam, że dzień wieczorowi zaczynał ustępować. W tém postilion zatrąbiwszy, wyrwał mnie miłym moim marzeniom, a Frankowskę z bardzo smacznego snu obudził. *Oto już Warszawa, zawołał, już światła widać i do rogatek dojeżdżamy!* — Już Warszawa, powtórzyłam mimowolnie, i serce zaczęło mi bić nie wiem dla czego. W téj chwili, wielebym była dała, by w spokojnym znajdować się Krzewinie. Trwoga innie iakaś obieła, ale tym czasem pojazd toczył się dalej, i w krótkim czasie pierwszy raz w moim życiu, do wielkiego wiechałam miasta. — Cóż to murów! aż mi się duszno zrobiło -- cóż to hałasu! — Postyjon mi powiedział, że to godzina w której z teatru powracają.

Pełno karet, pojazdów, ludzi różnych spotykałam. Każdy z iakiego-kolwiek powodu spieszuie zdawał się dążyć. Modny iakiś ekwipaż pojazd mój zawadził, i przy świetle pochodni, doyrzeć mogłam w tøy karecie bardzo piękną osobę płci moiey niesłychanie stroyną, i na której twarzy znać było niecierpliwosć prędkiego zaiechania i nadzieię zabaw, które na nią czekały, — Smutno mi się zrobiło. — Ja bez żadnego powodu iechałam, nigdzie mnie nie czekano, i ia do nikogo się nie spieszyłam. Nareszcie do oberżysmy zaiechali. Ni życzenia, ni mocy do niczego nie miałam, iak tylko do nayprędszego spoczynku. Dziś dzień cały niemal strawiłam między kupcami, krawcami i t: d. — Ponieważ żadney z moich krewnych nie ma tu teraz

w Warszawie, napisałam do Xieźney W.*** która bywała w przyjaźni z moją matką i znała mnie przed moim zamęściem, aby raczyła mnie prezentować i w społeczeństwo wprowadzić. — Naygrzeczniej mi odpisała, i jutro o godzinie szóstey w wieczór mam do nięj zaiechać, i pod ięj opieką pierwsze wizyty odbędę.

Moia Wando luba! do tego czasu tęsknota i boiaźń były iedyne uczucia moje w Warszawie. — Prawda też, że do tego czasu, hałas ulic, szębiotliwość szwaczek i kupców, i troskliwa myśl o jutrzejszym moim wstępie na wielki swiat, iedynie wszystkie moje zaięty godziny. — Dziś w nocy poczta odchodzi. List mój kończę, nayczulęj cię do serca przytulając moia Wandula ulubiona!

uściskay Alisie i tysiãc razy rãczki
całuy kochaney naszej Ciotki.—

DRUGI LIST MALWINY DO WANDY.

15 Grudnia z Warszawy.

Już nie wieśniaczka z Głazowa i Krzewina, ale *elegantka* we wszystkie *elegancye* wielkiego świata wprowadzona, piszę do ciebie moja Wandulu! więc z wszelkiem poważaniem czytay opisanie moich obrotów. Chciałam dalej w równy sposób dziennik mój ciągnąć; lecz znalazłam, że żarty nie są mi już do twarzy więc po prostu resztę ci opowiem.

Nazajutrz po napisaniu pierwszego mego listu, moja duszko, ubrawszy się iak tylko umiałam naylepię, a przynajmnię bez żadney smieszno-

ści, pojechałam do Xżney W.^{***} która mnie łaskawie przyjęła. — Nayprzyjaźnięy wspominała moję matkę, i z wielką uprzejmością o ciebie się wypytywała. Po czém sądzić możesz, czy mnie się miłą i przyjemną zdała. Xiężna W.^{***} iuz nie młoda, łagodność z powagą łączy w swęy twarzy; od wszystkich iest tu kochaną i poważaną, i im częściej się ją widzi, tém łatwiey się to poymuie.

Ze sto podobnośmy wizyt oddały. W kilku ledwo domach byłysmy przyjęte, i o tych nic ci powiedziec nie potrafię, bo w tym tłumie, imion nawet Pań domów iuz nie pamiętam. Na końcu naszej obiażdżki, zaięchałyśmy przed ogromny dom. Xiężna powiedziała mi, że to pałac Ministra Woyny. Niezmiernie wiele karet widząc na dziedzincu, gorące

modły po cichu czyniłam, żeby nas i tam nie przyjęto. — Ale na moje nieszczęście, właśnie przeciwnie się stało. Wysiadłyśmy tedy, i ja w pół żywa, idąc za Xiężną, znalazłam się wkrótce wśród obszerney sali niesłychanie oświeconey, i gdzie niezmierne kóło dam postroionych siedziało w milczeniu. Przy kominie i kóło bilaru, grono męzczyzn, którzy między sobą gadali. Xiężna W.*** prezentowała mnie gospodarzowi domu, który mnie naygrzecznię przywitał; ale nic nie wiem, co mi mówił, a on zapewne ieszcze mniey com mu powiedziała; bom tak była zmieszana; żem dobrze nie wiedziała co się ze mną dzieie. Szczęściem dopadłam stołka i siadłam kóło Xiężney. — Wtedy dopiero ośmieliłam się oczy podnieść i obeyrzeć całą salę. Dwie rzeczy mnie naywięcęy zasta-

nowiły. Pierwsza, że w osobie, która na przeciwko mnie siedziała, poznałam tę samą damę, którąm wieżdżając do Warszawy, przy świetle pochodni w karecie postrzegła. Pytałam się Xiężney, kto ona jest. Odpowiedziała mi, że to Hrabina Nel... najpierwsza tu *elegantka*. Ona w stroiach, w zabawach, w rozmowach, prawa przepisnie. Kto tylko do iey szczególnie wybranego towarzystwa nie jest przyętym, w kolei mody i dobrego tonu umieszczonym się nie rozumie. Wszyscy ją tu po imieniu tylko zowią *Doryda*, i ja ci oznaymuję, że nie chcąc grzeszyć przeciw *elegancyi*, w listach moich także *Doryda* ją zawsze mianować będę. — Druga moja uwaga była na tego, co koło *Dorydy* siedział. Szlachetność i powaga, postać iego znaczącą czyniły, wstęgi

i krzyże, zasłużonego oznaczały obywatela, a wiek podeszły uszanowanie wzbudzał. Jednym słowem, właściwym wyobrazeniem Wielkiego Pana zdał mi się być Zdzisław Xiążę Melsztyński, którego Xiążna W.*** tak mi nazwała, dokładając: *jest on ieden z naybogatszych i nayznaczniejszych Panów w Polsce*, a ja ci dołożę (tylko mnie nie miéy za waryatkę) że z pierwszego spojrzenia powab niezwyčajny iakiś wzbudził we mnie. Koniecznie zdaie mi się, że go gdzieś inż widziała. Osobliwie w oczach ma iakiś wyraz, któren mi się zdaie być dawno znanym, Daremnie myślę, gdzie i iak to być mogło, i to dochodzenie pamięć moję męczy, od momentu, w którym go poznałam.

Chociaż bardzo ładna, nie tyle jednak wzbudziła we mnie sympa-

tyi ta sławna *Doryda*. Wyraz niemal zawsze drwiący, który się maluje na iey twarzy, podług mnie, nie jest uymuiacym. Może też prozności trocha czyni mnie surową względem *Dorydy*, gdyż miłość własną moją upokorzyła. Z drugą damą i kilku mężczyznami, co za iey stołkiem byli zasiedli, przez cały czas naszej bytności szeptała, i na mnie patrząc polegała ze śmiechu. Łatwo mi się było domyślić, że ze mnie. To mnie zmieszało, zasmucilo, i dla tego może *Doryda* przyiemną mi się nie zdała.

W tym stanie było ułożone społeczeństwo, i ja przyznam ci się, niekonieczniem się bawiła, gdy iakiś grzeczny, fertyczny, wiele mówiący, i jeszcze więcej kłaniający się człowiek za stołkiem Xiężney W*** stanął. — Po iego mowie łatwo by-

ło poznać, że wszędzie bywa, świat cały zna, każdego dnia wie co się w każdym domu dzieje. — Nikt się nie żeni nikt się nie kocha bez jego wiedzy, niczyje święto nie minie, żeby on bukietu nie przyniósł, wierszów nie napisał Wszystkich chwali bez ustanku, i choć go zawsze wszędzie pełno, jeśli kiedy z pośpiechu pasztecik iaki utworzy, to przynajmniej nigdy ze złej chęci, plotek nie roznasza. To też weszło w przysłowie mówić: *nasz starościc Wścibski troche wprawdzie, ale iednak najlepszy w świecie człowiek.* — Starościc tedy (bo i ja go tak nazywać będę) iak stanął za naszymi stołkami, wiedział kto ja jestem, zkąd, kiedy, iak, i po co przyjechałam. Krociami pochwałanie zasypał, i nie ma kwiatu ani bogini do którejby mnie nie przyrównał. Szczęściem (bo te wszystkie

pochlebstwa dziwnie mnie już mieszać i nudzić zaczynały) ktoś się go zapytał: — *Starościcu co wszystko wiesz! nie wiesz też nic o młodym Xieciu Melsztyńskim? nigdy tak długo po nim nie tęskniła Warszawa.— Wnuk mój powinności swojej zadosyć czyniąc, przy Pułku swoim przesiadując,* odpowiedział na to dziad jego. — *Bydź to może, rzekła Doryda, ale teraz co zima się zaczęła, i przy Pułku nie ma co robić, ręczę, że w tych dniach do nas wróci, z uśmiechem dołożyła, z uśmiechem, który wyrażał, że o powrocie młodego Xiecia ona najlepiej uwiadomiona. Staroście, który nie traci nigdy sposobności wysunięcia komplementu, oświadczył mi wtedy: że gdyby Xiaże Pułkownik wiedział o nowój gwiazdzie, która zaiśniała na horyzoncie Warszawskim, pewnieby się spieszył*

z powrotem swoim. Na te słowa Doryda bardziej niż kiedy zaczęła szeptać i chichotać się, potem z miną która nie wiem, czy grzeczność, czyli też nieukontentowanie oznaczać miała; obracał się do mnie: *Jeśli wielką ma ciekawość poznać Xiecia Pułkownika Imość Pani S.***, to ja mogę upewnić, że na przyszły bal, którego ma dawać Poset Francuzki, niezawodnie Xiążę zjedzie.*

Chciałam odpowiedzieć, że ani ciekawości, ani niecierpliwości nie mam do tego przyjazdu, ale wiele dam mnie przerwało. mówił: *ah! iakże dobrze, że do nas wraca! bez niego wszystkie bale nudne, spacer w sankach nie zabawne, nic się nie klei; on ieden umie wszystko ożywić.—* *Zamiast nagany, damy powinny go jeszcze pochwalić, (rzekł na to stary iakis General) że od nich się odry-*

*wa, by po nudnych kwaterach służby swojej pilnował. — Mars i miłość równie go ieńczyć mogą, odezwał się Staroście — a my tymczasem iechać możemy, szepnęła mi Xiężna W.****

Wyiechałyśmy, i w karecie tę samą ciągnąc rozmowę — Prawdziwież to zepsute dziecko. rzekła mi, ten młody Xiążę Melsztyński! Dział mu we wszystkim pobłaza, młodzieź go zawsze za wzór bierze, a kobiety najgorzej go psuia! Prawda, że miło go psuć, bo dobre też to dziecko; ale wszelako kobiety i iemu i sobie szkoda, ubiegając się tak nieprzyzwoicie za rzutem oka, słowem iednym, lub naydrobniejszą z strony iego uwagą.

*Moja Wando, te słowa Xiężney W.*** dobrze się w moiej pamięci wyryły, i ręczę ci, że Malwina, choćby miała wszystkie uwagi ściągnać na siebie tego sławnego Xięcia Puł-*

kownika, i pół kroku do tego nie uczyni! — Ale iednak ciekawa iestem ten okrzyczany cud poznać. — Jeszcze pięć dni do balu Posła Francuzkiego! Xiężna W.*** powiedziała mi, że blisko od roku zostaje on w więzach Dorydy, co na iego zwykłą niestałość, wielkim cudem tu znajdują. — Ale czegoż ci o nim tyle piszę. Dość czasu będzie pisać o nim po tym balu, na którym mam go poznać. — Ten bal nie wiem czemu mnie tyle obchodzi! i coś smutnego mi się robi myśląc o nim. — Pamiętasz Wandulu 15 Sierpnia i bal w Krzewinie. — Ah! żaden taki nie będzie; wszystkie bale. wszystkie Pułkownicy, cały wielki świat równać się nie mogą z iedną godziną przepędzoną w Krzewinie z temi, co kocham, z temi, co kochać będę zawsze, o zawsze! Bądź

zdrowa , o moja Wandulu - luba !
w Krzewinie tylko prawdziwe szczę-
ście Malwiny.

LIST TRZECI MALWINY DO WANDY.

26 Grudnia z Warszawy.

Wando , luba Wando ! czy sen
łudzący od wczorayszego dnia mnie
omamia , czyli też urok jakiś zmy-
sły moje oczarował ? Co się dzieie
ze mną , ani pojąć samey , ani ci
wyrazić , nie iest rzeczą łatwą ; —
taki nieład w moich myślach panu-
ie , że nawet nie wiem od czego
mam zacząć . — Siostró kochana , tro-
skliwa twoja przyjaźń , która mimo
moiey wiedzy , poznać umiała nay-
skrytsze uczucia serca mego , i te-
raz może potrafi na moiem postawić
się miejscu , i domyślić się stanu

mojej duszy! — Słuchaj tedy, co mnie dziwi, smuci, cieszy, przeraża, i jest mi dotąd niepojęte.

Wiesz z ostatniego mego listu, że 20 tego miesiąca, poseł Francuzki wielki bal miał dawać na obchodzenie nie wiem już jakiej uroczystości. Wiesz, że publiczność, a Damy osobliwie z niecierpliwością dnia tego czekały, spodziewając się młodego Xiążęcia Melsztyńskiego, i że Doryda o wszystkich jego krokach dobrze uwiadomiona, iak najszybciej ten powrót zapewniła. — Przyszedł ów wieczór nareszcie. Dzień, co go poprzedzał, niezmiernie długi zdawał mi się; — z jakąś trwogą na ten bal pojechałam, — z trwogą weszłam do sali, i bardziej z skłonnością do rozrzewnienia niżeli z nadzieją zabawy. Ale wkrótce mnogość ludzi, światła, odgłos

nayweselszey muzyki, a może; (bo przed tobą próżności moiey zataić niechcę) może bardziév iak to wszystko uprzeymy szmer pochwały, z ktòrym mnie przywitano, iakem tylko weszła do sali, szare chmury rozpędził, odwagi mi dodał, wlewając w serce tę radość iakiey zawsze doznaię, gdy rozumiem się bydź miła tym, z ktòremi się znajduię. Passya moia do tańca natychmiast się ocknęła. Taneczników wielu się znalazło, którzy się o mnie dobiiali, i to mi nie było markotno, bo Doryda widzieć mogła, żem przecie nie zupełnie od wszystkich opuszczona. Tańcowałam wiele i z dobrego serca, nie myślac iuż bynajmnię o tym sławnym Xięciu Pułkowniku, ktòregom przyjazdu przez pięć dni tak ciekawie oczekiwała. Zaczęli walcować; ia walcowałam

z Maiorem Lissowskim, który ucho-
dzi tu za najlepszego tanecznika.—
Alic hałas iakiś u drzwi się zrobił,
i te słowa — *otoż on iest, obietnicy
nam przecie dotrzymał, dopiero bę-
dzie wesolo*, różnemi głosami z o-
krzykiem były powtórzone. — Mu-
zyka przestała. — tłum się otworzył,—
i ja w tym oczekiwanym, ogłasza-
nym młodym Xiążęciu, w tym celu
zaięcia wszystkich kobiet, w tym
wielbicielu, iak mówia, wdziękow
Dorydy, postrzegłam; poznałam.
kogo.... Ludomira! — ah, Wando!
mego niegdyś Ludomira! dziś zaś
Ludomira Dorydy, szczęśliwéy Dory-
dy! — W ten moment wesołość; chęć
do tańca, chęć do życia mnie opu-
ściła. Ani widziałam, ani słyszałam
wyraźnie, co się koło mnie działo;
w głowie kręcić mi się zaczęło, i
nie rozumiem iakiem szczęściem nie

zemdlałam. — Ni zadziwienia, że w tym świetnym Xiążęciu Melsztyńskim tegoż poznałam Ludomira, którego awanturnikiem nie dawno mniemano: ni gniewu, któren fałszywe jego postęпки wlaćby były powinne w duszę moją, nic na ów czas nie czułam. Późniéy dopiero gdym sposobność myślenia odzyskała, byłam w stanie te wszystkie uczynić uwagi. — Ale w pierwszey chwili, ta iedyna myśl: — *Ludomir mnie iuż nie kocha; Ludomir inną kocha!* iak ciężki kamień serce moie przygniotła. — Stałam wryta, iak posąg bez duszy. — Nie wiem co Maior Lissowski o mnie pomyślał, Tylem nareszcie z jego mowy usłyszała, że powtórnie mnie się pytał czy tańcować iuż niehcę, i że nie mógł był otrzymać odpowiedzi. Te słowa przecież mnie z osłupienia

wyrwały. Złożyłam wszystko na raptowną słabość z gorąca wielkiego pochodząca, i iak .nayprędzey w kącie naymniéy widzianym usiadłam. Radabym była natychmiast wyiechać z tego balu, wyiść z téy sali, która, przed kwadranssem ieszcze zaiskrzona wesołym światłem zabawy, teraz ciężką duszącą powłoką zdawała mi się zacmioną.— Ale Wando, moc iakaś ukryta, więziła mnie na krześle gdzieś siedziała. Nie mogłam porzucić miejsca z któregoś Ludomira! widziała! — i cóż widziałam niestety? — Ludomira patrzącego na Dorydę, tym samym wzrokiem na nią patrzącego, co niegdyś... mówiącego do niej z tém uśmiechem, z tém uczuciem... Ah Wando, czemuż ia nie w Krzewinie? pociżem z niego wyiechała? czemuż ia nie w odludnym Głazowie? spokojne

dni Głazowa iakżeście daleko od Malwiny! Pierwsze kroki, którem w ten wielki świat uczyniła, za-
¹tem i boleścią są naznaczone. Ale Wando słuchaj daley. — Wlepione miałam oczy w róg sali, gdzie Ludomir oparty o krzesło Dorydy, i nią iedynie zaięty, zdawał się zupełnie zapominać i powszechna radość iego przybyciem wzbudzoną, i cokolwiek tylko obcém było Dorydzie, — W tém Starościc się do niego przysunął, pocichu zaczęli gadać, i obeyrzawszy salę w koło, zdali się szukać kogoś oczyma. — Sio-
stro! mnie to rzutem oka szukał Ludomir. W tym tłumie spotkałem iego spoyrzenie, to spoyrzenie tak mi dobrze znaio-me, i natychmiast zrozumiałam, że mi serce bić przestało i krew się w żyłach zatrzymała. — Dorydę ktoś wziął w taniec.

Ludomir i Starościc obeszli drugą stroną sali, i doszedłszy do okna w którym niemal zakryta framugą siedziałam. — *Prezentuję Jmość Pani S.*** (rzekł do mnie Starościc) młodego Xięcia Melsztyńskiego, który najżywiej pragnie być iey znajomym. — Żeby nie los i okoliczności przekorne (przerwał Xiaże) pewnie nie ostatni byłbym między temi, którzy ubiegali się niezawodnie w uwielbieniu nowego Bóstwa, które niedawno posiada Warszawa.*

Wando! głos Ludomira który tyle ma mocy na całym iestestwie moim, dźwięk ten miły od tylu miesięcy nie słyszany, opanował na ów czas zmysły moje, i ledwo w ten moment wszystkich win Ludomira zapomniawszy, z szczerością dawnego przywiązania, nie rzekłam: — *Ludomirze, pewnie cię czernią mówiąc,*

że *Malwiny już nie kochasz, tę Malwinę, która nigdy nie potrafi cię zapomnieć!* Ale Wando, wytworny komplement Xięcia Melsztyńskiego, tak niepodobny do delikatnego milczenia, lub do wyrazów naygorętszą miłością tchnących Ludomira w Krzewinie, ten komplement, mówię, drezczem mnie przeiął, i słowa które wymówić miałam, na ustach mnie zmarzły. — *Czy mogę sobie pochlebiać, że JPan S.*** przyszłego tańca raczy zemną tańcować?* — Nie wiem, cobym była mu odpowiedziała, ale Doryda czasu mi do tego nie zostawiła. — Skończywszy walcować, przechodząc koło nas: — *Ludomirze!* (głośno zawołała), *spodziewam się, że nie zapomnisz, żeś mnie na pierwszego mazura zamówił.* — Ludomirze! wołała na niego świetna Doryda wśród przepysznego balu w War-

szawie! — Ludomirze! wołała także na niego biedna Malwina po spokojnych niegdyś dolinach Krzewina! — *Niech Xięże się nie zatrzymuje*, rzekłam natychmiast. — *Doryda na Xięcia już czeka, a ja bez tego nie myślę teraz tańcować.*

Ledwom te słowo była wymówiła, Major Lissowski przybiegł prosić mnie w taniec, i ja sama niewiem dla czego (bo pewnie nie z chęci tańcowania) wstałam śpieszno i stanęłam przy nim do mazura. Ludomir w tym samym kole stojąc przy Dorydzie, nim grać zaczęto, przysunął się do mnie i półgłosem powiedział, — *Jmość Pani S.*** podobno tańcować nie miała.* — *Prawda że tak myślałam przed kilka minutami, ale i mnie się trafia czasem szybko myśli zmieniać.* Coś może zbyt surowego musiało być wyrytym na

moiej twarzy, gdym te słowa wymówiła, bom skutek ich w oczach Ludomira poznała. Smutnie zamilkł, a ja widząc jego zmartwienie, odkupićbym była chciała te wymówione słowa, i już nie gadać, nie patrzeć na Maiora Lissowskiego, nie tańcować ale płakać byłabym rada.— Ludomir figury w mazurze plątał, Doryda zrzędziła, ja nie wiem sama, iakem do końca trafiła. Przy kolacyi Ludomir siedział przy Dorydzie, tyle tylko wiem. Po kolacyi, nie wchodząc nawet do sali gdzie tańcowano, do siebie wróciłam.

Wando nadużywam twoiej cierpliwości opisując ci naydrobniejsze szczegóły wczorayszego wieczora. — Ale niestety! drobne czasem szczegóły szczęście lub nieszczęście stanowią. Przyiazny rzut oka, zimne spojrzenie, rozpacz i niebo nieraz

w sobie zamykaia. — Wando moja !
wiem tedy teraz kto był ten niezna-
iomymy ! ten utajony Ludomir..., a ra-
czej nie wiem, nie rozumiem, nie
poymię nic z tego, co się iego lo-
su, iego postępków tycze ! Ale pa-
miętam, że mu życie winna, że mu
mu święcie przyrzekła żadnego kro-
ku nigdy nie uczynić, by odkryć ta-
iemnicę którą się okrywał. — *Naybo-
leśniej pomnożyłabyś tem moje nie-
szczęście*, są słowa listu iego, które
mam i teraz przed oczyma, — Ah !
Ludomirze, przestań mnie kochać,
kochaj nawet inna ! rób co ci się
podoba ! — Malwina płakać w ci-
chości sama, opuszczona, cierpieć
potrafi, ale nigdy, ni słowem, ni
postępkiem nie przypomni ci, że cię
nawet kiedy kolwiek znała.

Ale Wando, czas ten list, i tak
zbyt już długi zakończyć. Zbolałe

serce, i zmęczone łzami oczy spoczynku potrzebuia, Daruy siostru kochana, jeżeli ufaiac w pobłażaiącą twoią przyiaźń. ciężar i smutek duszy moiey z tobą podzieliłam! Nie- było w moiey mocy utaić naymniey- szego uczucia. Ale odtąd starać się będę.... o co.... ah sama nie wiem! nie wiem czego życzę, czego chcę, com powinna czynić, com powinna wierzyć! nieład w moich myślach, nieład w moiem sercu. — Bądź zdro- wa moja Wando luba, żyj spokojna w szczęśliwym Krzewinie! kochay mnie, nie zapominay Malwiny, bied- néy Malwiny! ah ty przynaymniey nie zapominay iey nigdy— nigdy!—

List Maiora LISSOWSKIEGO do przyjaciela.

30 Grudnia z Warszawy.

Alfredzie! cóż u ciebie w głowie? Warszawa w całej swojej świetności wzywa wszystkich sług swoich; ba-
le, reduty, szlichtady, pasztety, kome-
raże, w zupełnym są ruchu; do-
skonale mrozy, doskonale niezno-
śną wieś czynić muszą, a ty naj-
wierniejszy między wiernymi wiel-
bicielami miasteczka, nie możesz
się od nudnych swoich folwarków
oderwać! — Przybyway jak najprę-
dżey, inaczey odrzekam się ciebie
na zawsze, i z rzędu pierwszych
naszych *elegantów* wymazanym zo-
staniesz. — Ale ponieważ spodziewam
się, że na tę karę nie zasłużysz, i że
wkrótce stawisz mi się, łaskawie
myślę cię uwiadomić, co i jak się tu

dzieie, abyś za powrotem twoim nie wyglądał iak kto, co z Chin powraca.

Nowa zorza teraz tu zaiasniała.— Jest to Malwina S.^{***} młoda wdowa, która nigdy Warszawy, nigdy wielkiego świata nie widziała! Alfredzie, niceś w życiu tak ładnego nie widział! Nieśmiałość młodości i niedoświadczenia łączy w swem ułożeniu z postacią, która zdaie się być oswoioną ze zwyczajami najlepszego społeczeństwa. Uprzejma i naturalnie wesółą; ale młodzież naszą doskonale jednak umie wia- kiejści granicy trzymać, i mnie samemu, stworzeniu, któremu tak nie- łatwo zaimponować, Malwina z zimną swoją grzecznością tak czasem zaimponuje, że przy niej ani słowa z tych wyrazów, co to surowość złym tonem, a my nieoszacowaną

elegancyą zowiemy, ani obmowy żądnej, ani rozwałń się swobodnych, iednẽm słowẽm, nic ze zwyczajnego trybu naszego nie pozwalam sobie. Dziwuy się iak chcesz, wierz albo nie wierz, to iednak nieodbitą iest prawdą; ze Malwina tego cudu dokazała. Mnie któregoś znał, nie mogącego się i minuty dla nikogo w świecie *pożenować*; terazbyś widział życie na tẽm trawiącego, by myśli iey i życzenia zgadywac i wypełniac, chociaź ona gruczna dla mnie iak dla wszystkich, bynajmniej o mnie nie myśli i z wszelka grucznością i szczerością, iuź mi to nawet powiedziała. — Oy kobiety, kobiety! cobyście mogly z nami wyrabiać, żebyście zawsze interes swój właściwy rozumiejąc, nie rozłączały, iak nie rozłącza Malwina, skromności płci swojej od uprzej-

męj wesołości,³ a do dobroci łączyły tę pychę i szlachetność niewieścia, która potrafi każdego w należytem utrzymać obrębie, i któraby was nigdy porzucać nie powinna!

Alfredzie, kocham się szalenie w Malwinie. Niewiem, co z tego będzie, bo ona nie kocha mnie wcale, a co gorszy Ludomira coś się boję. Na moją biedę wrócił, widział Malwinę i dość było iednego balu, by niewolnikiem iey wdzięków został. Ale któzby też, na tém balu właśnie, mógł ją widzieć, i nie bydz iey wdziękami zniewolonym? — Wszystkie nasze Damy naywytworniey były poubierane. U nięj biała suknia, która giętki stan ob wiała, czarne warkocze złotym spięte grzebieniem, i przy lewym boku bukiet z świezých iacyntów, cały stròy tworzyły, — i ten bukiet ieszcze zie-

dyna dobrocią przy kolacyi zdięta, by chimerom Dorydy dogodzić, która z drugiego końca ogromnego stołu mniemała, iż zapach iacyntów ięy szkodzi, Ziawienie tej niewiņey, wdzięczney, lubey Malwiny, kaducznie nie na rękę naszej Dorydzie;— ale tēm lepiej dla mnie — będzie Ludomira pilnować — żebym tylko doszedł, co Malwina o nim myśli. Nie uwierzysz, iak ciężko dochodzić, co wtey głowie się dzieie. prosto i szczyrze zdaie się to, a iednak ia, nie dopiero lis, zglębić i zgadnąć ięy nie umiem. Wesołą z razu, zamysłoną potem była Malwina na tym balu; na gorąco złożyła tę nagłą zmianę, ale mnie coś wszystko się zdaie, że nagłe ziawienie się Ludomira to sprawiło. Czy się iuż kiedy widzieli? czy się znają? niemogę ich zrozumieć.

Wiesz Alfredzie, że podług dawnego zwyczaju, kiedy własnych nie mam interesów, to cudze śledzę. Przez czas niebytności Ludomira z opieki go nie spuszczałem, i różnemi memi manewrami wiedziałem niemal zawsze iak się obraca. Otóż doszedłem naypierwéy, że miasteczko w którym z Pułkiem stał kwaterą, niedaleko iest Krzewina, wsi, w której przebywa Malwina, Powtóre, że Ludomir nie wiem za iakim urlopem, cichaczem uiechał od Pułku w Maiu i kilka miesięcy bawił, nie wiedzieć ani gdzie, ani po co. Potrzecie, że iak wrócił w końcu Sierpnia do Pułku, bardzo był smutnym i pomieszanym. Cóż mam z tego wszystkiego wykleić? ha, zobaczymy! — Zaczynamy grać komedya; w której Ludomir, Malwina, Doryda i twój sługa, nay-

pierwszą rolę grać maia. Konfidentów i subretek znajdziemy do woli! (iuz Starościc nasz gotowy konfident); kto naylepiey grać będzie, a intryga sztuki iak się wywiąze, to się wkrótce da poznać.

Z resztą nic tu nowego nie mamy. Promocyje w Woysku na przyszłą wiosnę nam obiecują. Tym czasem, czy iest czy nie ma za co, nie tracim zwyczajiu przy kazdey okoliczności wyrzekać nad niesłychanemi niesprawiedliwościami, które na nas spadaią; bo kazdy z nas, zachawszy odemnie, nie poymuie iak nie iest, iuz przynaymniey Generałem.

Starościanka iuz konno nie iezdzi, co czyni zbiory w Saskiey Baytshuli dziwnie nudne. Felisia N,^{***} zawsze cudownie gawotę tańcuie. Karnawał nam iedynty zapowiadaią.

Wybornego *Bordeaux* dostać można u *Berensa*. Mój kasztanek zdrów, i celem zawsze zazdrości naszej całej młodzieży. Otóż i wszystkie moje nowiny. Przyjeżdżaj iak nayprędzey bydź aktorem, a przynaymniey z biedy choc i Spektatorem w rozmaitych sztukach, które téy zimy grać się będą na Scenie eleganckiego świata Warszawy.

R O Z D Z I A Ł XII.

*Dalszy ciąg bytności MALWINY
W Warszawie.*

Zle czy dobrze dzieie się — czy w zabawach dnie płyną, czyli łzami godziny się rachują, czas nieublagany, którego nikt i nic utrzymać nie potrafi, lecąc bez ustanku, miia i dla tych, którzyby go wstrzymać chcieli, miia i dla tych coby go popędzać radzi. — Kilka tygodni było minęło od powrotu Xięcia Melsztyńskiego, i nikt nie wątpił już w Warszawie o miłości iego ku Malwinie. Młode kobiety cieszyły się

tą jego nową miłością, widząc w tem iedynie upokorzenie Dorydy; starsze, osobliwie zaś te, których przyjaźń albo krew z Zdzisławem łączyły, pochwalały to przywiązanie w nadziei, że na pożądanem ze wszech miar ożenieniu się skończy. — *Już też nasz Ludomir ustakuię się, mówiły sobie, i w szczęśliwym związku wszystkich swoich szaleństw zapomni.* — Zdzisław ledwo nie tak zakochany w Malwinie iak Ludomir, w ślubie Wnuka, własne przewidywał szczęście, a publiczność którą zawsze nowość bawi, nawiasem zaprzątęła się była tym wypadkiem póty, poki innę zapomniec o nim nie dały.

Każdy tedy podług własnego interesu, albo próżney chęci, los Malwiny na przyszłość iuż był ułożył, gdy ona daleka od wszelkiego przed-

sięwzięcia, pojąć jeszcze nie mogła, iak ten świetny Xiażę Melsztyński, powszechnie wielbiony: był owym samym Ludomirem iedynie kiedyś od niey kochanym, i iedynie a tak niepospolicie ia kochającym! — kochać ia i teraz; przy naywiększém nawet uprzedzeniu zaprzeczyć temu by nie można. Dorydę porzucił; gniewy, sceny, płacze iey, zatrzymać go nie potrafiły: na żadną insza kobietę nie patrzy, Malwiną iedynie zdaie się być zaiętym. To wszystko prawda, Malwina to wszystko przyznaie. — Ale Ludomir kochał Dorydę, nim traf go do Krzewina przyprowadził. Zapomniał Dorydy dla Malwiny, zapomni może równie Malwiny dla innéy. — W Krzewinie byłaby przysięgła, że Ludomir nigdy nic nie kochał, nigdy nic prócz niey kochać nie będzie. W War-

szawie poznała, że Ludomir w Dorydzie, i w wielu innych już się kochał, i z trwogą poymowała, że jeszcze nie raz może kochać się będzie. Jednak wierna swojej przyszłości nie wspominała nawet Xięciu Melsztyńskiemu bytności jego w Krzewinie, i szukała sama przed sobą wymówki jakiej, mogącej okryć pobłażaniem tajemne i osobliwe jego względem niej postęпки, życząc usilnie doysć do tego, aby w Xięciu Melsztyńskim widzieć świeżą i ze wszech miar przyjemną znajomość, a zapomnieć, ieśliby to podobnem bydz mogło, że już w nim kiedyś wiźziała, co tylko kochać na świecie mogła. — Ale żeby lepiej dać poznać sprzeczne i osobliwe czucie i myśli w tych okolicznościach Malwiny, wypiszę tu część iej listu do Wandy, gdyż całego,

niechcąc nadużywać cierpliwości czytelnika, nie przepisuję.—

Wypis z Listu MALWINY do Siostry.

Ah Wando! iakżeż ten wielki świat, cośmy sobie nieraz tak uymuiącym wystawiły mało prawdziwego szczęścia zawiera w sobie!.... te lata młodości, które przyjemność, i roskosze napełniaćby powinny, często, iak widzę, łzami tylko są pamiętne! Wando, nie iestem szczęśliwą! Sluchay siostro luba, skryte uczucia serca mego, które przed tobą iedną całkiem odkryć mogę!

Jak tylko w Warszawie Ludomira poznałam, żal, niepokoie i płacz, serce to napełniły. Wkrótce potem Dorydę porzucił, mną iedynie zajęty (choć mało co ze mną i gadać może, gdyż ile mogę stronię dotąd

od niego) żadnego sposobu iednak, żadney okoliczności nie traci, by mnie o swéy miłości przeświadczył. Przytém głos iakiś wewnętrzny, który rzadko oszukuje, upewnia mnie, że mimo przeciwnych pozorów, on względem mnie żadney winy nie ma, i że w tym całym wypadku iest iakaś tajemnica, która iedynie wszystkiemu winna.

Dziad Ludomira, od którego on władzy zależy, z najsłaskawszém uprzedzeniem zdaie się życzyć związku wnuka swego ze mną. Wszystko więc się ułatwia, wszystko się układa, powinnabym bydz szczęśliwą. Ah Wando, nigdy mniey nią niebyłam! Widziałaś, i mimo mnie nawet poznałaś, ilem ja w Krzewinie Ludomira kochała. Oddychać i kochać go, zdawało mi się nierozdzielne. Widziałaś we mnie potrze-

bę niezmienną, każdą myśl, każde wrażenie z nim podzielić. — Ten brak niczego w świecie kiedyś tylko widziała, że on tem samem powietrzem oddycha, to przeczucie na przysłość wiecznego szczęścia w jakim bądź losie, byłe z nim podzielonymi nareszcie ten powab skryty, co go wytłómaczyć nie można, co z pierwszym rzutem oka się tworzy, z pierwszym słowem w serce się wpaia; powab uroczny, co wszystkie inne uczucia zastąpić i przeżyć jest w stanie, naysmierwszy przedmiot miłości i bez którego żadney prawdziwey miłości być nie może, — ten powab, którego nieba czasem udzielaia sercom naszym, i który całkiem przeymował serce moje dla Ludomira w Krzewinie, — Wando!... zgasł w Warszawie,... — Naysmutniejsze

dziwaczne iakieś uczucia zastąpiły go w zbolałym sercu Malwiny!

Xiażę Melsztyński oczom moim iest miłym. Pochlebia to moiéy miłości wlasnéy gdy widzę, że nad Dorydę, nad inne kobiety mnie przekłada, ale zaięcia iego uprząmością tylko odwdzięczam; zapały bardziéy mnie trwożą niż przekonywaią, a miłość, przyiaźnią tylko nagradzać iest w mocy moiéy!— Dla czego tak się stało? dla czego inaczéy było w Krzewinie? tego ia poiać nie mogę. Ustawnie wymawiam to sobie; to mnie smuci, męczy, wszystko mi truie. Wando, ieszcze ci iedne dziwactwo serca mego odkryię! Wando! moze ten wielki świat, te wszystkie dostatki, to powszechne kochanie, te szczęścia, zabawy, któremi w Warszawie widzę otoczonego Xięcia Melsztyńskiego, i które dni i zy-

cie iego здаią się napełniać, może to właśnie serce Malwiny odsunęło i ostudziło! W czemże bym ja niestety mogła mu szczęścia przymnożyć? — on mego serca nie potrzebuje... Tyle serc go kocha; on szczęścia nie potrzebuje, nieszczęścia nie zna. — Ah! w Krzewinie, Ludomir zdawał się od całego świata opuszczonym, zdawał się pierwsze w życiu szczęście czerpać z mojego serca! Samotnym, ponurym go poznałam, później widziałam go nieszczęśliwym, tak z głębi duszy nieszczęśliwym, i z litością miłość się w moim sercu wzmagala! tak też iak litość, to z nieba zesłane uczucie, miłość moja była tkliwa, czuła, ale raczey stworzona, żeby nieszczęście łagodzić, niżeli szczęście dzielić! Daremnie szukam na twarzy Xięcia Melsztyńskiego tego zwykłego wyra-

zu melancholii. który w Krzewinie nie raz wskroś moję duszę przeni-kał. Wesoła iego postać, żywe spoy-rzenie, wyrażać się zdaią szczęście i za-bawy, których iedynie dotąd dozna-wał, i bardzięj zazdrość, niżeli ko-iącą litość wzbudzaią.

Łay mnie Wando za te dziwa-ctwa, za te zbyt osobliwe może u-czucia! Ja sama gorzëj się łaię. Nie życzyłamże Ludomirowi w Krzewi-nie wszystkich szczęść na świecie? nie martwiłamże się, choć ich nie znałam, iego zmartwieniami? — Te-raz go znajduię szczęśliwym, widzę otoczonym krewnemi, przyiaciolmi, kochanym od dziada, opływaiacym w to wszystko, co tylko dostoięń-stwa i dostatki przydać mogą do szczęścia i zamiast cieszenia się tą niespodziewaną odmianą, odmianę

tylko niepoiętą w mem sercu postrzegam.

Dziwić się i ganic' będą może czytelnicy téy powieści, i z ciężkością poyma zapewne, że Malwina mogła przestać kochać się w tym, w którym się raz kochała; ale niechay raczą trochę mieć cierpliwości, a może w dalszym ciągu rzeczy nie tak winna znajda Malwinę, a przytém niech sobie wspomną, com im iuz raz śmiała powiedziec, że Malwina nie jest romansową doskonałością. ale jestestwem prawdziwem i wcale niedoskonałym,

Ludomir Melsztyński kochał się tedy, ile tylko kochać się mógł. — Doryda opuszczona, miłość w nienawiść zamieniwszy, wszystkich sposobów szukała. by czernic Ludomira w oczach Malwiny, a ią w iaką

wplątać intrygę. w której dobre imię Malwiny, bez żadney dotąd skazy, watpliwością przynajmniey iaką przyćmione bydź mogło. — Postrzegłszy że Maior Lassowski mocno nią był zaięty, i spodziewaiąc się z tego iakiey korzyści, postać wzięła uzalającej się litości, i dnia iednego — *widzę rzekła, Maiorze, że ty głowę tracisz dla téy Malwiny, która i Ludomira rozumieią strasznie zaiętego; ale z iego strony, to nie miłość, mozesz mi wierzyć, tylko chęć dogodzenia Dziadowi, który związku wnuka z Panią S.*** niestychanie pragnie dla tego, że może trochę bogatsza od innych. — Więc Ludomirowi dogodzisz nawet, ieśli mu będziesz w tém na zawadzie, a co Malwinia, to zimne bozysze, co bynajmniey nie kocha się w Ludomirze, rada iest że on się koło niey kręci; (bo z tą cichą i skro-*

mną minką) tak lubi się podobać, iak wszystkie kobiety na świecie, i byleś tylko chciał Maiorze, to ci ręczę, że nad Ludomira przekładać cię będzie.— Maior nasz w sercu którego próżność nia małe miejsce zabierała, łatwo temu uwierzył i z Dorydą w ścisłe wszedł związki, by z iey radami i pomocą dokonał swoich zamysłów.

Malwina tymczasem, ani postrzegając tych wszystkich układów, unikała zawsze od Ludomira; nim iednym iednak będąc zaięta, wymawiała sobie ustawnie, że go już nie kocha iak w Krzewinie kochała, a przytęm, niewieścia iey miłość własna, poniekąd była rada, że on wszystko dla nię porzucił. Rozum w przyszłości okazywał związek z Xięciem Melsztyńskim, iako cel szczęścia, i iakowys obowiązek, a skryty instynkt

zwracał uczucia ku miłej wolności i lubemu Krewinowi, do którego, sama nie wiedząc dla czego, nie iedno westchnienie posyłała. — Dotrzymać przysięgi Ludomirowi uczynioney miała w przedsięwzięciu, ale chęć przecięcia wężła, który całą tę tajemnicę utrzymywał, zajmowała ją bez ustanku.

R O Z D Z I A Ł XIII.

*Wieczór u Xieźna W.****

W takim stanie były rzeczy, gdy dnia iednego Xieźna W.*** sam wybór społeczeństwa zaprosiła do siebie na wieczór. Gospodyni dobra i uprzejma, kobiet ładnych a nie wiele, mężczyzn więcej, grzecznych i mających chęć podobania się, składało to społeczeństwo; pokoje dobrze oświecone, poukładane były w taki sposób, iż wchodząc zaraz wygodnie każdemu i miło bydź się zdawało; kolacya wyborna, iednem słowem, wszystko się ziednoczyło,



Wnętrze pokoju, w którym znajdował się obraz, 3^o 11.

..... *Postać do swierciadła,*
<http://rcin.org.pl>

izby ten wieczór iak nayprzyjemniejszym dla każdego uczynić. — Po herbacie, Starościc siadł do klawiorku, i gdy walca tylko napomknął, hurmem się ruszyli, stoły, stolki, poodsuwali, i nieznacznie każdy się przysuwał do tøy, do którey miłość, próżność, wabność, i tysiąc innych skrytych sprężyn społeczeństwa go ciągnęły. Ludomir chcąc wszystkich uprzędzić, leciał przez salę, by Malwinę do pierwszego walca zamówić, ale nieszczęściem, wstaiąc stołkiem zaczepił, i tryumfalnie rozdarł suknie Dorydy, — *Juz też nie tak niezgrabnego nie widziałam w życiu, iak od nieiakiogo czasu iesteś Ludomirze* (wrzasnęła Doryda); *idzże przynajmniej do kobiet Xiezney, i igłę mi znitką przynieś, żebym tę oberwaną suknie zaszyć mogła, bo inaczej, z łaski tøy niestychaney niezgrabności,*

wcale tańcowaćbym nie mogła. Dar-
mo, nie było co mówić, trzeba
było poyść po igłę. Zaspane pan-
ny Xiężnéy nie prędko igłę nawlec
mogły, a co gorzey ze gdy tę nie-
szczęśliwą igłę przyniosł Ludomir i
myślał, że oddawszy ją, iuż prze-
cie wyrwać się będzie mógł, Dory-
da koniec swoiëy sukni trzymać mu
kazała, żeby łatwiëy ją było zaszy-
wać tëy Damie, która się tego pod-
ięła. Tymczasem Malwina na zabóy
z Maiorem Lissowskim tańcowała, a
gdy nieborak Ludomir z swoiëy po-
kuty uwolniony, przysunął się do
niëy, znalazł ją na wszystkie tań-
ce do samey kolacyi iuż zamowioną,
Młoda wesolość Xięcia Melsztyńskie-
go z nieuważną obojętnością, zwy-
kle brała codzienne trafy życia; ale
tego wieczora, nie wiem dla czego,
przeciwności tak mu były dotkliwe-

ze nie mogąc tańcować z Malwiną, do drugiego poszedł pokoju i siadłszy na sofie, przeciwnie swemu zwyczajowi niemal smutnie dumać zaczął. — Nasza Malwina, której biała, lekka iak wiatr suknia i wieniec z szkarłatnych maczków niewypowiedzianie były do twarzy, osobliwie ładną była tego wieczora, i może dla tego osobliwie była wesoła. Otoczona młodzieżą, więcej mówiąca iak zwyczajnie, dużo tańcowała, i szczerą zaięta była wesołością. W tem wieniec maczków zsunąwszy się trochę zawadzać iey zaczął, i chcąc go poprawić, poszła do zwierciadła, które nad kominem w drugim było pokoju. Spoyrzawszy w zwierciadło Malwina, dziecinną ledwo że nie powiem radością, uśmiechnęła się, widząc się tak ładną, ale w ten moment niewiedzieć zkąd

Krzewin ię się przypomniał, i smutnie westchnęła. Podparłszy się na rękę, nawiasem w zwierciadło patrzyła; lecz wtedy już nie swoją tylko ale i twarz ujrzała Ludomira, którego wprzód nie była postrzegła. Oczy miał w nią wlepione z tym samym niemal wyrazem czułości i smutku, który tyle ją uymował w Krzewinie, a którego daremnie na roztrzepanej twarzy Xięcia Melztyńskiego w Warszawie szukała, Drgnęła mimowolnie, i pierwszy raz od bytności swojej w mieście, sama do niego zagadnęła: — *czemuż Xiąże tak zwykle wesoty, dzisiay nie tańcuie i tak zamyślonym bydz здаie się? — Chciałem tańcować, pół życia za ieden taniec radbym oddał, ale nikt mnie nie chciał, i nic mi się nie wiedzie! Te nikt znaczyło Malwinę, te nic mi się nie wiedzie, że ona z nim*

nie mogła tańcować; zwyczajna mowa zakochanych, którzy w przednio-
cie swojej miłości świat cały zamy-
kają. Poznała się i Malwina na te-
mi już szczerze żałując przykrości, któ-
rą Ludomirowi uczyniła, oświadczyła
natychmiast tym wszystkim, co ją
wprzód byli zamówili i nadeszli wte-
dy, że iey zbyt gorąco, i że iey się
tańcować odechciało. Nie ieden na
to z długą odszedł twarzą ale Ludo-
mira nayspełnieney się wypogodziła,
szczęściem radosném zaiasniawszy; i
dobra Malwina, dla której cudzą
przyjemność zawsze od własney była
potrzebniejszą bynajmniey walców
nie żałowała.

Gdy Malwina przestała tańco-
wać, wielu zaraz ochota do tańca
odpadła, i Xiężna W.*** widząc, że
bal zasypia, umyśliła żeby dla od-
poczynku, w gry iakie zagrać. Zgo-

dzili się na to, stół znowu wnieśli okrągły, i już ta razą, mimo starań Dorydy i Maiora Lissowskiego, Ludomir nie dał się uprzedzić i tak manewrował, że koło Malwiny usiadł. — W sekretarza grać zaczęto; wyśmienita gra by się dowiedzieć, o co się pytać wyraźnie niechcą, lub wyiawić to, co wyrzec nie śmieją. Jeduomyślnie Xiężnę W,^{***} za Sekretarza wybrano, Między kartkami w pierwszej kolei pisanemi, których naywięcéy było obojętnych, te, co następuią, były nieco od innych dowcipnieysze.

Co twoią przyszłość ujaśnia?

To co przeszłości świeciło.

Czém podobne są powab i nienawiść?

Oboie czatem iedno tworzy spojrzienie.

Jakie trzy słowa wybierasz ?

Oczyzna , miłość i sława. -

Czem miłość pochodnię swoją zapala i
gasi ?

Westchnieniem i łzami.

Co jest zaletą, a co wadą nadziei ?

Że zwodzić umie.

Gdy drugą koley zaczynali, Malwina przedsięwzięcia swego zapominając, i tak, iak iey się czasem trafiało; nierozważnie za pierwszym idąc poruszeniem, napisała te słowa:

Czy przesłe lato, czy Sierpień zeszły,
żadnego nie zostawiły wrażenia ?

i rozdawiając wszystkie kartki, tę z innemi Ludomirowi podała; Trafem ostatnią rozwinął, lecz gdy ją przeczytał, zaplonił się niesłycha-

nie i oczy podniosłszy na Malwinę zdał się litości ię wzywać. Malwina widząc jego zmięszanie. natychmiast winną się osadziła; i potwornie przyrzekła sobie przysięgi iemu uczynionej, lepiej niż dotąd dotrzymać, w czem bardziej się ieszcze wzmocniła, przeczytawszy takową na swoje zapytanie odpowiedź: —

Wrażenie niestety na wieki nie wymazane? Ale litościwa dobroć o tem może wspominaćby nie powinna.

To przeczytawszy Malwina, iakom mówiła, już bardziej iak kiedy będąc przekonaną, że przyczyna zbyt ważna przymuszała Ludomira tać swoje postęпки, zamilkła potém znowu zupełnie, i chcąc ułagodzić, przykrości które rozumiała, że swoim nieuważnym zapytaniem mu uczyniła, zaczęła nieco lepiej i poufałey

go traktować, nizeli dotąd od przyjazdu swego do Warszawy była czyniła.

Lecz niestety tak, iak żeby los iakiś złoczynny szukał sposobów ich odsunienia i rozłączenia ustawicznie, to, co by było powinno być pomocą Ludomirowi; na złe mu się obróciło. Przyjaźniejsze z nim obchodzenie się Malwiny, nadzieję i wesołość mu wróciwszy, wróciły go razem do zwyczajnego sposobu bycia, do tego, w którym dotąd Malwina go w Warszawie widziała, czem tyle iey się zdawał różnym od ułożenia swego w Krzewinie, Mówić znów zaczął wiele, decydować głośno, przedrwiwaiąc wszystkich i wszystko. Myślał może (bo pewnie nie ze złego serca) że to sposób naypewniejszy dowcip swój okazać. Mylił się w tem iak się wielu myli, którzy rozumieją,

że bydź złośliwym, iest bydź zabawnym. Mało kogo tym nikczemnym i zbyt łatwym sposobem bawią, a często, (choć tak wprawdzie nie iest), dają na siebie pozor bardzo złego serca. Gdy pisać skończyli, nie wiem jakim trafem zaczęli mówić o kwestach, które dnia tego właśnie na ten rok ułożonemi zostały i na zaiutrz miały się rozpocząć. — Jak wiadomo kilka dam z najpierwszych w społeczeństwie są wybrane, które kwestują po Kościołach i po wszystkich domach, podzieliwszy między siebie rozmaite ulice i przedmieścia, i te zbrane ialmużny, są potem rozdzielone pomiędzy szpitale chorych i sierot miasta Warszawy.

Ztąd poszła rozmowa i zwrot wzięwszy stosujący się do tego, o

dobroczynności, o obyczajach, o religii nareszcie mówić zaczęto. Malwina przez trafność naturalną czując, że i z płci swojej i z wieku nie wypadło iey wcale głośno wymawiać zdań swoich, ani też praw przepisywać nikomu, cicho w miejscu swoim siedziała; ale słowa nie traciła z tego, co każdy, a naybardziej, co Xiążę Melsztyński rozpowiadał. Ten nie z przekonania rozumem, lecz przez płochy iakiś wstyd, i dla utrzymania reputacyi *filozofa* i człeka bez przesądów, która mu iednomyślnie młodzież była przysądziła i którą chciał utrzymać, nie bardzo wiedząc co iest *filozof* i co są *przesady*? — Dla tych tedy płochych przyczyn zaczął przedrwiwać to wszystko, co tylko dotąd w przekonaniu swoim Malwina miała za nayświetsze. Szlachetne obo-

wiazki, religia, obyczaje, były celem jego żartów. i gdy po kolacyi, przy której nie mała liczba kieliszków szampana, bardziéy mu iesze rozegrzała i tak iuż dość roztrzepaną głowę, daley zaczął ciągnąć te lekkomyślne rozumowania i niezabawne żarty. Znudzona i zniechęcona Malwina; zaczęła się zegnąć z Xiężną W.*** chcąc iuż do siebie wrócić. Xiążę Melszyński któremu wino odwagi dodawało, poufale przysunąwszy się do Malwiny — *Piekna Malwino!* rzekł do niey, *wiem ze iesteś iedną z grona świetobliwych kwestarek. Spodziewam się, ze mi nie odmowisz szczęścia dzielenia z sobą tey pobożney pielgrzymki, i w t m celu iutro rano o dziesiątey stawić się w progach twoich pozwolisz. — Liéch sobie Xiążę tey pracy nie zadaie,*

z zimnym nader ukłonem odpowiedziała Malwina; *obowiązki nasze i sposób o nich myślenia nadto się różnią, abyśmy je kiedy z sobą dzielili.* Co powiedziawszy Malwina, wyiechała, i wróciwszy do siebie, głowę i serce mając napełnione różnemi uczuciami, które wzbudziły rozmaite zdarzenia tego wieczora, nim się położyła, długi list napisała do Wandy, cały ten wieczór w szczegółach opisując, i temi słowy zakończyła:—

« O mola Wando! jeszcze raz
« powtarzam i bardziej iak kiedy
« jestem przekonana, że wielki świat,
« złe przykłady, złe społeczeństwa,
« najlepsze serca, nayszlachetniey-
« sze dusze w krótcie zepsuc mogą!
« Ktoby mi był powiedział, że ten
« Lndomir, w którym widziałam, co
« tylko uczciwość, delikatność utwo-

« rzyć mogą, który wypełnienie o-
« bowiązków za najsłodsza miał po-
« winność, który szczęściem i przy-
« iemnością drugich zawsze był
« zaięty, że tenże sam Ludomir,
« w tak krótkim czasie, zamieni te
« szlachetne zaięcia, w tę zimno
« drwiącą, i wszystkie dobre i tkliwe
« uczucia morzącą próżność i nie-
« dbalstwo, które powszechną zdaią
« się bydź cechą modnego społeczeń-
« stwa, a których ni z powabu, ni
« z przekonania, nigdy Malwina
« przeiać nie potrafi. »

R O Z D Z I A Ł XIV.

K W E S T A.

Nie raz zatrudnienie zastąpić szczęścia może, osobliwie kiedy cel użyteczny obeymuie. Nie wiem, czy moi czytelnicy w tem będą mego zdania, lecz doświadczywszy tylokrotnie skuteczności tego leku, radzę go każdemu. Nieraz znużona umartwieniem, zniechęcona przeciwnościami, ocucona smutną rzeczywistością zdarzeń tego życia, z lubyh omamień pierwszej młodości, nie raz mówię, w zupełne i z wielu miar niebezpieczne zniechęcenie

się byłabym wpadła, gdyby nie miłość zatrudnienia. Miłość ta, w dziecinnych jeszcze latach i przez nader lube rady w umysł mój wpoiona, z wiekiem stała mi się właściwą; ona pogodne dni moje upiękniała, ona pochmurne znośnemi czasem czyniła, — Malwina w tém równie iak i ia myślała, i czuiąc tę iakaś niewyrozumiałą i tém bardziej męczącą tęsknotę, którą nieład uczucia i zbieg okoliczności w sercu iey roily, mnię sposobna w tęg chwili zaiąc się spokojną w domu własnym robotą skwapliwie chwyciła się zatrudnienia, które kwestowanie przynieść iey mogło. Stać się użyteczną biednym, chorym, zbolełęj starości, dziecinności opuszoney, dla tkliwęj duszy naymilszym było pokarmem, a wstępowanie od domu do domu i przypatry-

wanie się rozmaitym obrazom domowego wewnętrznego pożycia, mimowolnie sprawiało roztargnienie.

Nazajutrz tedy po owym wieczorze u Xiężney W.^{***} w którym Ludomir pod tylu różnemi postaciami iey się ukazał; Malwina w wadowany zawinąwszy się szlafroczek, twarz schowała w kapelusz, koronkowy welum na oczy spuściła, i Frankowskę wzięwiwszy pod rękę, na kwestę puściła się szczęśliwie.

Kwesty te w mniejszym obrębie były gatunkiem *tkliwey podróży* (*) iaką *Joryk* odbywał, i w której czytelnik ieśli ciekawy może Malwinie towarzyszyć lecz ieżeli te drobne szczegóły, które dowcipem *Sterna* opisane, bawią tak przyjemnie, rysem

(*) *A Sentimental journey* (każdy zna dzieło to przyjemne i dowcipne przez *Sterna* napisane.

słabego pióra wydane, nudzić go zacząć, bezpiecznie ominąć je może.

Luty już się skończył, dzień był pogodny, rannym mrozkiem wymiecione ulice, wszędzie suchą nogą przejść można było. Słońce jasno świeciło, a powietrze czyste i żywe wszystkim przechodzącym ruchu i wesołości dodawało. Malwina wkrótce skutek tego orzeźwiającego powietrza uczuła, i z większą odwagą niż się po sobie spodziewała: do pierwszego domu weszła, by kwestę swoją zacząć. Ciemną przeszedłszy sionkę, zapukała we drzwi i jeszcze dość śmiało; lecz gdy prosta dziewczka otworzywszy drzwi, grubym głosem zapytała się iey, czego chce? odważna Malwina głos straciwszy, ani słowa znaleźć nie mogła. Szczęściem dziewczka miała serce łagodniejsze od głosu. — *Jdź*

W Pani daley rzekła do Malwiny, *teraz iest godzina nauki, i tam w po-*
koiu znaydziesz W Panie Madam,
która Pannom lekcye po francuzku
i po niemieccku daie. W duzey dość
izbie, siedziało u góry stateczna
białogłowa, a w około stolika kilka-
naście panienek, między któremi
naystarsza zdawała się ledwo mieć
lat 13, Różnofarbne oczy, i różne
cienie włosów można było znaleźć
w tem ładnem gronie. i wszystkie te
dziewczynki mniej więcej ładne
Malwinie się zdały; bo ochędostwo,
zdrowie i wesołość młode ich kra-
sity twarzyczki, Postrzegłszy ze Mal-
wina axamitny worek w ręku trzy-
mała, Ochmistrzyni domyśliła się,
że po kweście chodzi; wstawszy
nayuprzeymię ją przywitała, i kwo-
tę swą w worok wsypała. Potem
obróciwszy się do dziewczymek, któ-

re wszystkie Malwinę obstąpiły — *moje dzieci*, rzekła, *ta Pani daie sobie prace, chodzić od domu do domu i zbierać iatmuznę dla ubogich*, na te słowa dzieci oczy wytrzeszczyły i słuchały daley, — *dla ludzi starych, schorzałych...*, iuz tu wszystkie twarzyczki zasmucać się zaczęły; lecz iak Ochmistrzyni dołożyła, — *i dla biednych dzieci opuszczonych, którzy ni oycy ni matki niemaia*, całe grono się rozleciało; iaka taka do szufladki. do kryiówki, do kieszzonek się wzięła, i wnet stós złotych i groszaków w worek Malwiny wsypały. — Jadwisia iedna z najmniejszych, potężną lalkę gwałtem w worek wcisnąć chciała, i widząc, że się nie mieści rozplakała się niesłychanie mówiąc: — *te biedne dzieci co mamów nie maia, to i lałusiów pewnie niemaia, ia im chciała moia*

dadz, choć ja bardzo kocham, ale Limpka nie chce iść w worek. Malwina uściskała Jadzię, i uspokoiła ją upewniając, że choć nie z workiem, to jednak ięy *Limpka* dojdzie do biednych dzieci co mamów nie maia. Jadzia zaczęła skakać z radości, i całe grono się rozsypało, bo to godzina była rekreacyi. Ochmistrzyni z naysczulszym wzrokiem patrząc na te dzieci « nie nierozumiem, rzekła do Malwiny, iak są « osoby, które stan Ochmistrzyni maia « za upokarzaiący, i za nayprzykrzeyszy- Ja od wielu lat to zatrudnienie obrałam, i razem nayswiętszy obowiązek i naysłodszą nagrodę w niem znayduię. Pewnie « w tym stanie, iak w każdym innym; bywaią trudy i przykrości; « lecz cóż w świecie miłszym bydz « może, iak te młode, niczem ieszcze

« nie zepsute serca, łagodną spra-
« wielliwością do siebie przywiązać
« i tem samem przywiązaniem kie-
« rować je na tor cnoty? — Nie ie-
« stem dość uczoną, abym im wiele
« nauk dawać mogła; ale od tego są
« nauczyciele, ja zaś moralnością iak
« naywięcéy się zatrudziam. Staram
« się z młodych lat w umysł ich wpa-
« iac tkliwą pobożność i gruntowne
« zasady, Robię z nich ile iest: wmo-
« cy moiey, czule i wdzięczne córki,
« uprzejme towarzyszki iedne dla
« drugich, łagodne Panie dla służ,
« staranne gospodynie i gorliwe oby-
« watelki, zalecając im ustawnie ra-
« dami, a naybardziej przykładem,
« przywiązanie do kraiu, do właści-
« wego ięzyka, do cnot i zwyczajów
« narodowych, ażeby z dzieciństwa
« iuż nauczyły się lubić to, i chlu-
« bic się tem że są polkami. Z tak

« wychowanych panien zdaie mi się
« ze powinny się tworzyć dobre żo-
« ny i tkliwe rozsądne matki, Do-
« świadczyłam tego nawet, gdyż kil-
« ka już panien z moiej pensyi,
« poszedłszy za mąż, nayszczęśli-
« wiey domowe życie prowadzą. »

Malwina oświadczyła Ochmistrzy-
ni, ile sposob, którym obowiąz-
ki swego stanu wypełnia, szanowny
iej się zdaie, i pomyślała sobie, że
bespiecznie zaniechaćby można zwy-
czaiu sprowadzania z zagranicy cu-
dzoziemek, by Polki wychowywać;
gdyż w własnym kraiu znaleźć mo-
żna nie iedną osobę, podobną tej
zacney Ochmistrzyni, i sposobniey-
szą rodaczki wychowywać, niżeli te
cudzoziemki, które nayszczęściey z nie-
wielkiem nawet staraniem są wy-
bierane.

Z tego wyszedłszy domu, do o-
ściennego zaszła Malwina; szeroka

brama, pyszne schody, galonowany szwajcar, w przedpokoju liczna liberya, dalej kilku kamerdynerów. Malwina iednego prosiła, żeby oświadczył Panu, iż kwestuie na ubogie szpitale, i spodziewa się, że Pan zechce się do tey kwesty przyłożyć. Kamerdyner, który gazetę czytał przy oknie, choć nie bardzo chętnie, wstał iednak, i przypatrzwszy się Malwinie, wszedł do gabinetu Pana, a że drzwi nie przymknął za sobą, Malwina przysłuchac się mogła całej ich rozmowie, — *przyszła tam iedna po kweście, rzekł kamerdyner... nie było na to odpowiedzi, — mówi że to na szpitale. — Dayże mi pokóy, i nie przeszkadzaj, widzisz że pisze, i zem pilnie zatrudniony. — Ona mowi że to dla biednych, dla ubogich. — Oh! iuz ci ubodzy mnie kością w gardle stoią, o*

niczem już innem nie słysze, i wkrótce w własnym swoim pokoju opędzić się im już nie będzie można! — Ale kwestarka młoda i ładna, dołożył Kamerdyner. — Na te słowa, Pan okulary zdiął, szlafroka poprawił, i łaskawie kazał prosić Malwiny. — Z kimże mam honor mówić? z pod ręki na nią spoglądając, Malwina imię swoje wyrzekła. Godnością iey zdziwiony i ładnością uięty, Pan nasz zmieszany trochę, zaczął się iąkać, potknął się, ekran od komina zawadził, i tak mu coś niewygodnie na świecie bydz się zda wało iż pusta Malwina tylko co mu się w nos nie rozśmiała, w czas się przecie wstrzymała, i z uśmiechem tylko dołożyła: — wszystko, co w tym domu postrzegam, upewnia mnie, że moi ubodzy nie mała tu pomoc otrzymaia, i to mówiąc, worek ak-

samitny podała. Kwestarka dziwnie była ładna, wysokiego urodzenia, i zbyt w wielkim świecie znaioma, by przez nią wspaniałość lub skąpstwo naszego Pana w społeczeństwie się nie rozeszło. — Te wszystkie szczegóły stanęły mu na myśli, i raptownie pochwycony ładunek z 50 dukatami, który na biorze leżał, nagle w worek Malwiny wrzucił: i pięciu możeby nie dał, gdyby zamiast pięknej i świetnej Malwiny, stara i biedna iaka kobieta dla biedniejszych od siebie o jałmużnę go prosiła. Lecz bądź iuz iak bądź, Malwina szczęśliwa z tak dobrego podsycenia swojej kwesty, wesoło pożegnała ten pyszny dom i pyszno-skąpskiego Pana, i na drugą stronę ulicy przeszedłszy, weszła do kamienicy, gdzie mieszkała Dama ze spotykania w społeczeństwie dość

dobrze iey znana. Kanap, kanapczek, draperiów rozmaitych dość było w pokoju. Na sofie gitara w formie liry, ale kilka stron zerwanych. W kącie gradusy z kwiatami; lecz że zapomniano ich polewać, naywięcey było zeschłych. Na stole, *le journal des modes* leżał roztwarty, filizanka z czekoladą nie dopita, bilety na teatr, afisze, gazety, i potężne pudło nayświeższych mód; co dopiero ze sklepu Lazarowiczowey byli przynieśli. Sama Jmość przed wielkiem stała zwierciadłem, i właśnie ieden z nowo przyniesionych czepeczków probowała, gdy weszła Malwina. —

Ah! iak dobrze żeś przyszła; moja kochanko. udecyduiesz mnie w wyborze tych gatganków; od godziny wybieram, i iuż to mnie zaczyna nudzić, tylko uważay moje życie, kto-

ren tuł nacyeńsz. Jutro pewnie niech na dwunasta wrgotuią dulietkę lila, i kapelusz z koronka (powiedziała paniencie co przy pudle stała) bobym niemiata co włożyć na iutrzeyszą szlichtadę. WacPan nieczekay daremnie, oto masz swój bilet, bo ia dziś na gitarze grać nie będę, rzekła do Włocha, który od godziny czekaiac bardzo znudzona miał minę. Malwina widzac tę rozstroiona gitarę, pomyślała sobie, że pewnie i innych dni nie więcey na niey grywaiia, — *Wszystko co iest w pudle, zatrzymuie moia Panienco, powiedz Lazarci, zeby Dyadem z bzu białego na niedzielny piknik nie zapomniata.* — *Malwiniko nie chcesz czekolaty, ou bien, un dejeuner à la fourchette? Zabaw się ieszcze trochę moie zycie, to się go w krótce doczekasz, co dzień o tęp godzinie wiele mto-*

dziezy u mnie bywa, i ponieważ o siódmey dopiero jem obiad, śniadanie zawsze wprzody zjadamy. Malwina chciała cożkolwiek na to mnóstwo słów odpowiedzieć; lecz nasza elegantka znów ją przerwała. — A e, iale, ty podobno dla ubogich kwestujesz, i ja miałam kwestować, Maior Lissowski i kilku innych mieli mnie towarzyszyć, ale odechciało mi się tego, bo w szubce chodzić tylko, to zimno, a w salopie, okrutnie nieładnie. — Moje życie, nie mam nic przy sobie; daj tam proszę za mnie dukata. — Malwina dała tego dukata, z którym już się więcej nigdy nie obaczyła, i słysząc nadchodzącą spodziewaną młodzież, a niechcąc czasu trawic, uciekła z reszta. — Porzuciwszy dopiero wytworne mieszkanie i obraz modnego poranku elegantney damy, dziwno się z razu

zdawało Malwinie, gdy wnet potem znalazła się u forty Xięzy Bazylianów, Zadzwonila, i wkrótce Mnich stary z siwa brodą i uprzejmem spoyrzeniem fórtę otworzył, i zapytał się czego zyczy? — *Kwestuię dla ubogich i na szpitalo, mój oycze!* — *Nie wielkie u nas znaydziesz skarby moie dziecię,* z łagodnym uśmiechem odpowiedział staruszek: *ale chciey odpocząć sobie trochę w naszym ogrodzie, a ia obeydę tym czasem, wszystkie cele, i co będę mógł zebrać z radością odniosę,*

Malwina weszła do ogrodu; — wysokim murem opasany kilka kwater bukspanem odznaczonych, w których łodygi suche, mimo zimy iesce się trzymały, trochę owocowych drzew i na środku studnia kamien-na pod starym orzechem i na której siadła Malwina. Cichość zu-

pełna panowała; nic milczenia nie przerywało. chyba powolne kroki Mnicha iednego, który przechodząc sklepionym gankiem Monasteru, pod temi arkadami, iak ciena iaki się wydawał. Dzwon od forty raz dał się słyszeć, a późnię głucho-iednostayne mruczenie, które Malwina poznała, że z choru pochodzić musi, gdzie Xieża pacierze śpiewali. Dumac zaczęła Malwina, rozmyślaiąc o różnicy niesłychanę zatrudnień, i sposob życia osób, których tylko mur ieden dzielił, W istocie, nie mniej sobie, niebyło podobne iak roztrzepany poranek naszey elegantki, i spokojne chwile, które zdawały się panować w tym klasztorze.— Oyciec Ezechiel dumania Malwiny przerwał, odnosząc szupłą ale chętnie daną kwotę, którą w całym był zebrał zgromadzeniu! Świętą zda-

wala się Malwinie ta ofiara. — Ofiara ubostwa dla nędzy. Z rozrzwiniem podziękowała fortyanowi, potem z większą czułością niżeli rozwaga, — *Oycze*, rzekła, *iakież smutno iednostayne życie prowadzisz! stary, ubogi, i do tego mnich! ah! nadto biednym bydz musisz!* — *Nie tyle, ile rozumiesz moje dziecko*, odpowiedział na to Ezechiel, *nie zawsze z powierzchowności sadzić o ludziach trzeba... W młodości moiej tak iak wielu innych, pragnalem zupełnego szczęścia, i za ludzającemi gonilem się omamieniami. Wiele znoiu i pracy sobiem zadawał. i niemal nigdy nic otrzymać nie mogłem. Znuzony nareszcie temi wiecznemi walkami, iednego dnia wszystkom porzucił, i wdziwając ten habit, zyskałem przy um między innemi korzyściami, zapomnienie prze-*

szłości, i naprzyszłość obojetność. Żadne zdarzenie już mi bardzo doku-
czyć nie może; spokojność staie mi się
za szczęście, a oddanie się zupełne o-
patrności, zastępuje zupełnie nadzie-
ię. — Tak mówił Mnich, i pęk goź-
dzików pierzastych, który trzymał
w ręku, oddając Malwinie, dołożył:
moie dziecko, przyimiy te kwiaty,
któte na moiem oknie wyrosły, i na
nie patrzaiac wspomniy czasem sta-
rego Ezechiela; a wśród zabaw wiel-
kiego świata niekiedy przypomnisz
sobie, że i w ponurym klasztorze i
pod grubym habitem, pogodnie ser-
ce bić może: kiedy sumienia spokoy-
nego żadna zgryzota nie trwoży. Mal-
wina z uczuciem pożegnała starego
Ezechiela, i kilka kroków uszedł-
szy, inakszy znów obraz iey się u-
kazał. Hałasny ruch gospodarskiego
stołu w uczęszczaney oberży zasta-

pił ciszę klasztorną. — Woyskowi od piechoty i od iazdy; kupców kilku na iarmark przybyłych; szlachcic stary w piaskowej opończy: młodzik w szerokim surducie niezmiernym kołnierzu z czubem nastrzępionym; aktor wybladły; officialiści od różnych dykasteryów; żyd bogaty; z posępnem czołem bezżeniec, co w domu obiadu nie miewa; doktor co już do domu na obiad trafić nie mógł, i wiele innych mniej więcej ciekawych figur stół ten w koło obsiedli. Butelek dość było na stole, wrzawy dość w pokoju. Wszyscy stołownicy razem gadali; w rogu sali panienka nie szpetna na-złej grała harfie, której stary basetlista i skrzypek niepoczesny towarzyszyli. Gospodarz domu z serwetą w ręku uwiał się na wszystkie strony. Drzwi usta-

wnie przytwierzano, a wieczne dryndulki tłukąc się po bruku, i łącząc się do tysiącznych ulicy hałasów, czyniły tę scenę naydoskonalszą przeciwnością ciszy i pokoiu.

Malwina cofnąć się chciała, lecz żał iey było znaczney kwoty, której się spodziewała przy tak liczniem zgromadzeniu. Weszła tedy, i bynajmniey tego nie żałowała, bo iaki taki, woyskowy czy cywilny, z prowincyi przybyły szlachciec równie iak modny mieszkaniec miasta, stary czy młody, bogaty i ubogi, gospodarz domu, nareszcie kapela niepoczesna, wszyscy podług stanu i możności, chętnie i z naylepszym sercem zbiór jałmużn dla ubogich podścili.

Ta uprzejma uczynność rozrzewbiła Malwinę i z uniesieniem pomysłała, że miłosierdzie, ten świę-

ty przymiot, nierozdzielny jest w duszach Polskich z gościnnością starodawna, z szlachetną odwagą, i przewiązaniem nayszystszym do Ojczyzny. — Te właściwe narodowe cnoty, których wieki nieszczęść, zniszczenie kraju! bieg czasu, gwałt przymusu, strata nawet nadziei wykorzystania z serca Polaków nie potrafiły.

Z chluba i przekonaniem powtarzam i ja za Malwiną, że te szanowne cnoty, i wiele innych jeszcze, są nieodrodną własnością moich współziomków; ale dokładam, że z tey unoszącej własności, próżność, lekkość, i lenistwo wyplenichym chciała, a do gorącego porwania się w każdym działaniu, (co takoz jest narodowym przymiotem) dodałbym rada stałość uporczywą i miłość porządku, bez których nayne-

psze, porywcze chęci bezskuteczne-
mi zostają, i podobne są iskrzą-
cym faierwerkom, które zabłysną-
wszy trochę, dym tylko i większe
ciemnoty po sobie zostawia. —

Nie iedno zdarzenie spotkało Mal-
winę w dalszym ciągu tej kwesty,
która dni kilka ieszcze trwała; lecz
że byłoby nadużywać cierpliwości
czytelnika każde wyszczególnić, ie-
dno tylko dołożę, które poniekąd
związek ma z dalszą iey historia.

Obszedłszy znaczniejsze ulice w
obrębie sobie wyznaczonym, Malwi-
na zeszła ku Wiśle do zupełnie iey
nieznaiomego przedmieścia; lecz wi-
dząc niskie klitki, szczupłe zagrody,
ubogiem pospółstwem zamieszkane,
gdzie raczey dadź niż zbierać iał-
mużnę należało, wracać się iuż chcia-
ła, gdy postrzegłszy między temi mi-
zernemi domostwami ieden porządny

domeczek, spiesznie do niego weszła. Wazkie przeyscie dzielilo kuchenke i komore od dwóch izb wybielonych starannie, i gdzie łózka, szafa z cynowemi talerzami, stół, stołki, obrazki, firanki, nayporzadniey zdawały się utrzymywane. Nie widząc nikogo w domu, Malwina weszła do sadu, który z boków wysokiem i stroiszami oparkaniony, do samey Wisły dochodził; srodkiem ubita ścieszka do rzeki prowadziła; Malwina nią idąc, następujący obraz uyrzała. — Pod rozłożystą gruszką, nad samą wodą, siedział człowiek sędziwy, ciemney twarzy, który na długiey żerdzi podrywka ryby łowił, przy nim kobieta młoda, z płcią takóž sńiadawą i czarnemi oczami, zawieszona na drzwiach siecie naprawiała, u nóg ich kadź stała z wodą pełna rybek, w której mala

dziewczynka także z włosami i oczami czarnemi, grzebała, drażniąc się z kotem, co na rybki czatował. Długi zakręt Wisły widac było z tego miejsca, łódka wartem płynęła, most i Praga horyzont kończyły, i zachodzące słońce właśnie w porę oświecając ten obraz, czyniło go godnym pędzla Werneta (*). Niewiasta najpierwsza Malwinę postrzegła, i dowiedziawszy się w czem przyszła, wnet oycu doniosła, — *mówisz że dla ubogich to ta Pani zbiera*, rzekł do córki, podrywkę z wody wyciągając: *o! kiedy dla ubogich to iakem cygan, Dzęga chętnie się do tego przyłoży!* i to mówiąc, skórzaną dobywszy sakiewkę, parę talarów w worek Malwiny wrzu-

(*) Wernet był sławnym malarzem, który widoki morza i brzegi rzek zwykle malował.

cił. — *i iam był kiedyś ubogi, nędza mi była dobrze dokuczyła. Dla tego zem czarny, nikt mnie w służbę przyjąć niecheiał, iednak i cygan czasem może bydz poczciwy. Ni służby ni roboty nie mogac nigdzie dostać, w naywiększą wpadłem był mizeryą. Zięc mój i moia Jewa — z głodu i nędzy zamarli, i stary Dżega wkrótceby był za niemi poszedł, i zostawił te dwoie, co widzisz tu WPani, dzieci sierotami na ziemi; ale Bóg dobry, który i o cyganach pamięta, pozwolił, że i Dżega anioła spotkał. Ach! Anioł prawdziwy ten Książ Melsztyński — (na te słowa pilniey iak kiedy Malwina słuchać zaczęła). — Trafem, co długo gadaćby trzeba, do niego się udał, on mnie wystuchał, dał sobie pracę dochodzić, czy Dżega nie kłamie, przekonał się o naszej nędzy, i nazawsze nędzę od nas od-*

pedził. *On ten plac kupił, ten domek kazał wystawić, zadatek mi dał, bym mógł rybactwem (co jest moje rzemiosło) uczciwie na życie zarabiać; i już kilka lat minęło, iak Dżega znów iesiotry i węgorsze poławia, i nigdy podrywki nie zarzuci, niewodu niewyciągnie, zeby tysiucznych błogostawieństw Kniaziowi z Melsztyna nie posyłał.* NIECH ŻYJE KNIAŻ Z MELSZTYNA! czerwona rzucał w górę czapeczkę wykrzyknął stary Dżega, a Malwina zapomniali o wieczorze Xiężney W.^{***} i o płochości obyczajów Ludomira, przeięta iedynie dobrem sercem iego, tysiuczne swoje życzenia łączyła z duszy do błogostawieństw Cygana. — *A te korale, czy takze od Xięcia Melsztyńskiego!* rzekła Malwina postrzegłszy sznurek dużych korali, których szkarłatna farba mocno się świeciła, na czarney szyi dzie-

wczynki zawieszony. — *Oh! nie*,
odpowiedział Dżęga, *to znów inna*
historja, to ten poczciwy nas waryat
Rózi podarował. — Te słowa cieka-
wość Malwiny wzbudziły, i Dżęga,
który chętnie rozprawiał, tak zaczął,
o tem znowu mówić. — « Pełnia trwa
« już od kilku dni, wieczory iasne i
« ciche, wtedy węgorze naylepięj się
« poławiają. To też widzi Jeymość
« co wieczor tu przychodziłem i pod-
« rywkiem zarzuciał. Zarzuciwszy
« czekałem spokojnie, i tym czasem
» oglądałem się tu i owdzie, dla roz-
« rywki tylko moja Imość kochana
» aż jednego razu, po miesięcznym
« promieniu, który na niego ude-
« rzał, postrzegłem z drugiej strony
« płotu człowieka, który nad brze-
« giem Wisły po piasku i kamy-
« czkach chodził. Szeroki surdut
« miał na sobie, i kapelusz spu-

« szony, zem twarzy nie mógł po-
« znać; wprzód i w zad chodząc,
« czasem na Miesiąc patrzył, potem
« z zapazuchy coś białego, naksztalt
« cieńkiew chusteczki wyciągał, i pa-
« trzac na to wzdychał, i sam do
« siebie gadał. Na co moja Jeymość
« kochana Dżęga się domyślił, że to
« zapewne waryat bydz musi; ale że
« nikomu nieszkodził, niech go tam
« Bóg błogostawi, pomyślałem sobie,
« Dżęga węgorze poławia, waryat
« białą chusteczkę na sercu nosi,
« i tak każdy robi, co mu się po-
« doba. Ale wczoray w wieczór cóz
« się stało? oto waryat co zwykle
« po nad brzegiem Wisły chodził,
« wczoray siadł na tym wzgórk, u
« oto nad tą wapnistą przerwą, co
« ią ztąd widac, i iak zwykle,
« z pod serca białą swoię chuste-
« czkę wyciągnąwszy, głęboko nad

« nią się zamyślił; alic' wiatr duży
« się zerwał, i wyrwawszy ów ka-
« wał muślinu, na wodę go poniosł.
« Waryat krzyknął, i chciał za nim
« lecieć, (dali Pan w Wisłę pono);
« szczęściem ten gałgan w sieć moję
« się wplątał, i Dżega miał czas za-
« wołać na tego dziwne go człeka,
« który się chciał topic, dla tego,
« że taki gałgan utracił... ha, ale
« moja Imość kochana, kazdy ma
« swoje widzi mi się, niech go tam
« Bóg sekunduie! oddałem mu
« muslin ukochany, którego iak się
» znów dorwał to tak się cieszył, że
« mi ieszcze śmieszno teraz, iak so-
« bie przypomnę. Worek chciał mi
« dać swóy z pieniędzmi, ale Dżega
« nie chciał przyjąć; bo Imość, chy-
« ba radość bym mu był przedał, i
« kazał ią sobie płacic, bo co ten
« zmoczony gałgan, to i grosza nie

« był wart. Wtedy waryat poleciał,
« i nie długo potem wrócił, i przy-
« niosł ten sznurek koralu dla Róży,
« którego dziś ma na szyi. — *weźcie*
« *go proszę*, mówił, *niech i wam przy-*
« *pomina*, *żeście mi największą uczy-*
« *nili przystugę, oddając mi iedyny*
« *skarb, co posiadam na świecie*, to
« wymówiwszy, uciekł, i więcej o
« nim nie słyzałem. »

Już Dęzga przestał być mówić,
a Malwina ieszcze słuchała, mimo-
wolnie oczy iey się wlepiły w tę
wapnistą przerwę i skalisty pagórek,
na którym siedział ten dziwny czło-
wiek, którego w myśli swojej nie-
sczęśliwym zapewne, ale nie wa-
ryatem sądziła. Zdawało iey się
widzieć go z niebezpieczeństwem ży-
cia lecącego w wodę za tym upo-
minkiem, któremu chyba ręka mi-
łości taką cenę dać mogła. Tysią-

czne myśli w młodej głowie Malwiny z tad wynikły, czułość serca dotknęły, i z westchnieniem te słowa, *oh iakże ja musi kochać!* z ust ię się wymknęły. Zarumieniła się postrzegłszy, w iak głębokiem była roztargnieniu, i natychmiast pożegnała poczciwego Cygana, który ledwo że i ją waryatką nie osądził; widzac! że także sama do siebie gadała. Daremnie Malwina o czem innem myśleć chciała; dobroczynność Xcia Melsztyńskiego tak tkliwie prostotą Dżęgi opisana, i wspomnienie tego nieszczęśliwego nniemanego waryata iedynie ją zajmowały i w tak głębokie dumanie wprawiły, że sama nie postrzegła iak do miasta wróciła. Koło Fary przechodząc, dźwięk organów, który się po sklepieniach tęj dawney budowy rozchodził, z tego ją przecie ro

targnienia obudził, będąc zmęczona cało-dziennem chodzeniem weszła do kościoła, by nie co odpocząć. Nieszpory wtedy śpiewano, przy wielkim ołtarzu światło tylko widać było, reszta katedry już zmrokiem była okryta. Ludzi było dosyć; Malwina blisko drzwi siadła, worek otwarty przed sobą położyła, czekając spokojnie rychło kto z przechodzących iałmużnę iaką weń wrzuci. Swietność miejsca, dźwięk organow, zaciemnione sklepienia, wszystko to ieszcze pomnożyło skłonność do dumania, z która weszła do Fary. — To czego u Dżęgi o Xięciu Melsztyńskim się dowiedziała, i traf co ją sprowadził tam, gdzie szczerze i tkliwe opisanie iego dobroci usłyszeć mogła, myśli iey ku niemu zwróciły. Warszawski Ludomir i błędy, któremi ją martwił znikły z pa-

mięci, a Ludomir dobroczynny względem Dżęgi, Ludomir tkliwy, pełen cnot, iednym słowem, Ludomir ten, którego w Krzewinie znała w Krzewinie kochała, stanął w oczach, i całkiem duszę iey zapełnił. W tey chwili kochała go znowu nayżywszą miłością, i serce mając pełne nayczulszego rozrzewnienia, wzniosła modły nayszczersze ku Stworcy wszech rzeczy, dziękowała Bogu z zachwyceciem za uczucie miłości, które wlał w serca wszystkich stworzeń, uczucie, którego prędzey czy późnię każdy kiedyś doznać musi i w niem tylko znaleźć może wyobrażenie wiecznego uszczęśliwienia.

Nieumiałabym powiedzieć, bo i Malwina sama nie bardzo zrozumieć mogła, dla czego przy tych modłach, dla czego przy tych myślach i wspomnieniach o Ludomirze,

wspomnienie biednego mniemanego waryata, łączyło się mimowolnie. Wapnisty pagórek nad Wisłą, biały muślin, (jak go Dżęga mianował) i ten nieszczęśliwy, którego *iedynym był skarbem na świecie*, malowały ustawnie w iey pamięci mieszając się do naywłaściwiey miłych iey myśli.

W tém przechodzący iakiś, mi-
iając Malwinę i poznawszy w nię
kwestarkę, zatrzymał się i ładunek
z monetą wrzucił w worek, a gdy
w ten moment czarną koronkę, któ-
rą na twarz miała spuszoną; po-
dniosła, z niewypowiedzianym wy-
razem *ah Malwina...! o Boże!* krzy-
knął ten przechodzący, w którym
natychmiast, mimo grubego surda-
ta, i ciemności kościoła, Malwina
Ludomira poznała. Wzrok iego nay-
tkliwszą pałał miłością, a w głosie za-
dziwienie, radość, rozrzewnienie,

i lekki cień wymowki dostrzedz mogła Malwina.— Nie mógł Ludomir, iakośmy wyzey widzieli, w szczęśliwszey dla siebie chwili spotkać Malwiny. Tkwiła w iey umyśle świeża pamięć dobroci iego, pochwały głosem wdzięczności mu dawane, ieszcze w uszach brzmieć się dawały, cofniona myśl w szczęśliwe chwile Krzewina, całą czułość serca wskrzeşila, i gdy Ludomir z tym tonem, co do iey serca trafiać umiał, te kilka prostych słów wymówił, zdały się one Malwinie wyrazem naytkliwszey miłości, i sama czuiąc takoz wten moment, iak szczyt kocha, z taż szcerością iey właściwie wrodzoną, natychmiast wyznać to mu chciała, nie wątpiąc że Ludomir tem wyznaniem zniewolony, nic iuż tajnego dla niey mieć nie będzie, i

wytłumaczy ię nareście owe odmiany i tajemnice w postępka ch swoich, które nie raz tak ją dziwiły i obrażały, które czasami od niego ją odrażały, a o których z własnem zadziwieniem w tę chwili ledwo pamiętała. Malwina wstała, Ludomir z zachwyceniem oczy miał w nią wlepione, przysunęła się do niego i w obfitości serca raptownie rzekła: — *Ludomirze! Warszawa..... Malwiny serca nie zmieniła; (pewnie dołożyć chciała) i dziś ci go oddaie tak czyste, tak toba zaiete, iak w szczęśliwych początkach naszego kochania.* — Lecz tych słów ostatnich wymówić nie mogła, pierwsze ledwo Ludomir był dosłyszał, gdy hałas niesłychany, bębny co larum biły, i różne głosy wołające, *ogień, ogień... pali się...* przerwały raptownie rozmowę między naszymi ko-

chankami, do której zbiór ekolichności był ich doprowadził, od której może szczęście ich, było zawisło, a która teraz przerwana, nie prędko znów się zwiąże.

Ludomir pobiegł widzieć gdzie się pali, by podług tego Malwinę z kościoła wyprowadzić; ale Malwina przestraszona, zamiast czekania na miejscu, iść chciała za nim; ciemność kościoła i przelęknienie zdarzyły, że innemi drzwiami wyszła. Ogień okropny naprzeciwko kościoła zaięty, przeraził ją natychmiast. Ludomira dostrzedz nie mogła. Chciała się do kościoła wrócić, tłum wychodzących ludzi tego icy niedozwolił; Frankowskę także była zgubiła. Ulica pełna ludzi, koni, wozów z pompami, żołnierzy, była zewsząd zatarasowana; hałas niesłychany, blask pożaru cmił oczy, iednem słowem wszystko się połączyło, żeby strach Malwiny

podwajać. Szczęściem w ten moment Frankowską w tłumie postrzegła, która z wielką pracą przedrzeć się przecie do niey potrafiła, i iuz nie odpowiadając nawet na wszystkie zapytania swoiey Pani, *czy nie widziała, czy nie spotkała Ludomira?* wzięwszy ją pod rękę między konie, ludzie, z niebezpieczeństwem życia wyprowadziła ją przecie do spokojniejszey ulicy, gdzie wpół żywa biedna Malwina spotkawszy doróżkę, wsiadła w nią z Frankowską, i do domu zawieść się kazała.

Zmęczona niestychanie, przyiechawszy położyła się zaraz, ale nie prędko zasnąć mogła. Troskliwość o Ludomira i myśl iak się zadziwić musiał, gdy wróciwszy do kościoła, iuż iey tam nie zastał, długo iey snu nie dozwalały. Przytem żal, że miłość tey, która tak żywo znowu

serce iey napęłniła , wyznać mu nie mogła , spokoyność od niey odsuwał. Ale cieszyła się myślą , że co odsunięte , nie stracone , i że gdy naza- jutrz Ludomir (o czem nie wątpiła) będzie u niey , by się dowiedzieć , iak i czy szczęśliwie do domu wróciła , znajdzie sposobność przerwana ę wskrzesić rozmowę. Czulość i wdzięczność Ludomira z niewypowiedzianem szczęściem przewidywała , i w tych szczęśliwych myślach , znużona całodzienną pracą , usnęła nareszcie

A ponieważ spoczywa moja Malwina spoczną i ia trochę nim przyszły zacząć Rozdział.

KONIEC PIERWSZEGO TOMU.



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

517
A